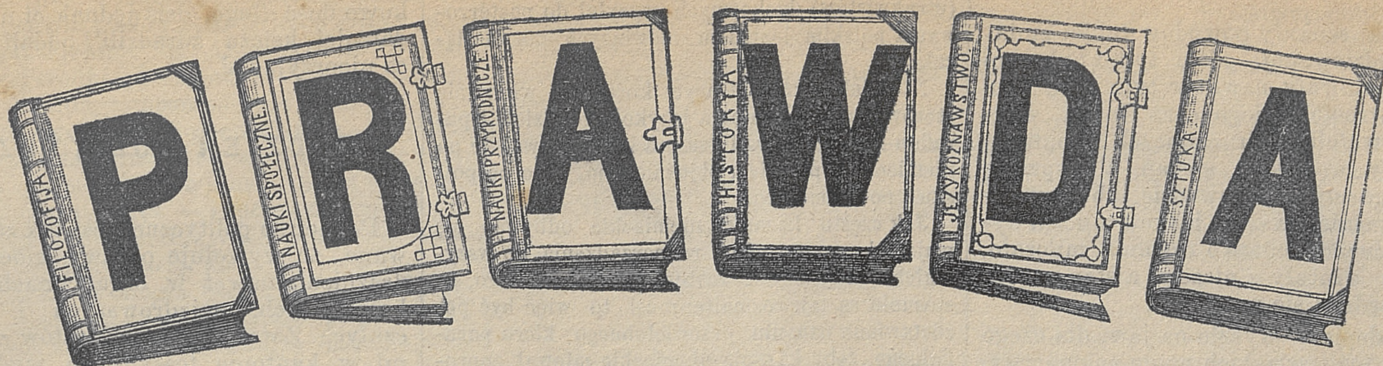
Nr. 45. Warszawa, dnia 8 Listopada (27 Października) 1890 r. Rok X.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

DROBINA GRECKA.

Gdyby „koncert europejski“ nie był kocią muzyką, w której każdy instrument gra co innego, gdyby osławiona „równowaga mocarstw“ nie była ciągnieniem wozu w rozmaite strony, możeby nawet telegraf nie trudził się doniesieniem, że miejsce Trikupisa zajął w rządzie greckim Delianis. Ale w epoce niebywałego naprężenia stosunków politycznych i zbrojnego pokoju, w epoce, kiedy kierownik rządów bułgarskich lub serbskich waży wiele i jest przedmiotem licznych zabiegów, mała i słaba Grecya nabiera również znaczenia. Posiada ona nadmiar wyższej (uniwersyteccko wykształconej) inteligencyi, której nie może zużytkować i która czeka na urzędy. To też nie jest zupełnie pozbawione słuszności mniemanie, że w Grecyi opozycyę stanowią kandydaci do urzędów, a zmiana systemu wyraża tylko zmianę zastępu sług publicznych. Pogląd wszakże taki zawiera tylko część prawdy. Bo chociażby w programach stronnictw nie zachodziła wyraźna różnica zasad, to niewątpliwie między ich przywódcami zachodzi różnica charakterów i temperamentów, która dla stosunków podrażnionych wiele znaczy. Trikupis był ostrożniejszym, Delianis jest popędliwszym i zuchwalszym — to ma swoją wagę. Czy nowy prezes gabinetu greckiego więcej wymoże od Turcyi i wyjedna od mocarstw, niż jego poprzeduik, to inna kwestya; ale więcej swym rodakom obiecuje i więcej będzie usiłował osiągnąć. Do tlejącego tedy ciągle zarzewia na półwyspie Bałkańskim przybędzie nowy, silniejszy podmuch. P. Delianis uspokaja Europę, że nie wywoła w niej pożaru i pamiętając o jego mocy, można mu wierzyć bez przysięgi. Ale z drugiej strony trzeba się przygotować na to, że będzie chciał zaspokoić zdobywczy głód rodaków bodaj dobrą wolą, że będzie stosunki zewnętrzne jątrzył i że zwłaszcza będzie kozą skaczącą na krzywą wierzbę turecką. Powodów ku temu dostarczą mu dwie sprawy: kreteńska i macedońska. Już Trikupis łudził greków, że otrzymają Kretę z rąk cesarza niemieckiego, jako wiano jego siostry, poślubionej następcy tronu. Posag ten, jak wiele innych, rozwiał się w marzeniu, ale apetyt na niego nie zniknął. Potrzeba więc tylko, ażeby rządy, trzymające w swem ręku losy Europy, okazały pobłażliwość, a niewątpliwie Delianis zacznie szarpać Turcyę z tej strony i podtrzymywać na wyspie stan ciągłego wrzenia, którego nie tyle Wysoka, ile biedna Porta nie stłumi.

Chociaż ze wszystkich oświeconych narodów Europy obecna Grecya najmniej przypomina swoją matkę, starą Helladę, której właściwie jest tylko przybraną córką, nie przeszkadza to jej powoływać się na prawa historyczne i dowodzić niemi konieczności odbudowania państwa wielkogreckiego. Macedonią uważa ona za kość swojej kości, a do tej Macedonii sułtan wprowadził biskupów bułgarskich. Czyż potrzeba więcej do rozpoczęcia walki? Naturalnie Delianis nawiązał sobie ten drugi supełek.

Polityce więc przybył krewki temperament i śmiały charakter. Od wielkich jej prądów zależeć będzie, czy on coś zdziała, czy też uderzywszy kilkakrotnie głową o mur, upadnie pokonany. Nawet wszakże to bezsilne szamotanie się może zawichrzyć stosunki na półwyspie Bałkańskim i przyspieszyć rozkład Turcyi. Jeżeli takie drobiny, jak hercegowińska, bułgarska, serbska wywarły wpływ na bieg wypadków, to dlaczegóż nie miałaby oddziałać większa od nich drobina grecka? Chyba że Delianis — co jest również prawdopodobnem — zbyt rozedmie obietnicami nadzieje greków i zbyt słabo je nakarmi. Wtedy odpędzą go oni znowu od steru i powierzą kierownictwo nawy państwowej innemu, który ich albo lepiej okłamie, albo więcej przyrzeczeń dotrzymać zdoła.

ODFARBOWANE LISY.

Od kilku już miesięcy zaczął się objawiać w polskiej prasie poznańskiej dziwny jakiś niepokój, który z dnia na dzień odrastał i do odnawiania się ciągle znachodził powody.

W rzeczywistości było też dość podstaw do tego niepokoju. Oto kilka znaczniejszych obszarów ziemskich przeszło z rąk polskich w niemieckie. Najwyższa władza państwowa odrzuciła wszystkich zaproponowanych jej przez kapitułę poznańską kandydatów na arcybiskupstwo poznańskie tylko dla tego, że nazwiska ich miały brzmienie słowiańskie. Na domiar tego wszystkiego spostrzegły jednocześnie *Gazeta toruńska*, *Dziennik poznański*, a nawet najklerykalniejszy organ prasy polskiej, *Kuryer poznański*, że serdeczny dawniej, a nawet czuły stosunek duchowieństwa szląskiego do ludności słowiańskiej jakoś dziwnie i bez najmniejszego powodu oziębił się i zachwiał.

Duchowieństwo katolickie przybrało tam wobec ludności polskiej postawę, z której należałoby wnosić, iż ono nie widzi przed sobą innych owieczek, tylko pochodzących z gniazda niemieckiego. I tak: wysłano niespodzianie t. z. wizytatorów dla nauki religii i ci zadawali w szkołach pytania wyłącznie po niemiecku, mimo, że pytani języka tego nie rozumieli. Dalej z największym pośpiechem i naciskiem ze strony duchowieństwa zaczęło się masami całemi przenoszenie uczniów, którzy pobierali dotychczas naukę religii w języku, krajowym, na „oddział niemiecki“ a wreszcie w parafiach, gdzie ludność zupełnie nie włada niemczyzną i władać nią nie może, w czasie nabożeństw zwykłych odzywała się w kościele

niezrozumiała dla pobożnych pieśń niemiecka.

Dzienniki szukały powodów takiej zmiany niespodziewanej, gdzie tylko było można; interpelowały nawet w tym kierunku biskupa wrocławskiego d-ra Koppa, wzywały obywateli do rozmaitych deputacyj i dokładały wszelkich starań, aby sprawę do dawnego stanu przywrócić lub przynajmniej wyjaśnić. Ksiądz biskup milczał dyskretnie, duchowieństwo również milczało, deputacye wracały z niczem, a stan rzeczy jeszcze bardziej się pogarszał.

Teraz dopiero wyszło na jaw, dla czego to serca księży szląskich nagle zniemczały.

Rzecz prosta i jasna. Muszą oni być takimi, jakimi nakazuje im być ich władza, a biskup wrocławski nakazał duchowieństwu szląskiemu, aby przekształciło swych wiernych na niemców.

Leżą przed nami dwa okólniki tego dostojnika kościelnego, oddane do publicznej wiadomości przez jakiegoś niedyskretnego księdza — i w nich to należy szukać przyczyn zmiany w stosunkach katolików szląskich. Oba noszą jedną datę (6 sierpnia 1890) i oba mają jedną dążność, tj. pomódz państwu w jak najszybszem wytępieniu żywiołu słowiańskiego na Szląsku.

W Niemczech wolno używać katechizmów polskich — biskup Kopp nie ma też nic przeciw temu, żąda tylko, aby nikt nie uczył się czytać po polsku.

Oto główne jego pragnienia:

Takie dzieci szkolne, które wedle sumiennego sądu proboszcza mogą z korzyścią pobierać naukę religii po niemiecku, jako też dzieci rodziców niemieckich, należy uczyć w oddziale niemieckim, przyczem pragnąłby przestrzedz przed tem, żeby przypadków niedostatecznego rozumienia po niemiecku nie brano zbyt powszechnie.

Również takie dzieci, które ani dobrze po niemiecku, ani dobrze po polsku nie rozumieją, *lepiej* będzie przyłączyć do oddziału niemieckiego.

Szczególnie polecam pieczy pasterskiej przewielebnego duchowieństwa parafialnego taką młodzież ich parafian, która w czasie miesięcy letnich szuka roboty w niemieckich stronach monarchii. Takich należy zachęcać, odnośnie *uzdolnić* do tego, aby sobie używanie mowy niemieckiej o tyle przyswoili, żeby się mogli w języku niemieckim spowiadać, ponieważ nie mogę zadosyć uczynić częstym do mnie zwracanym żądaniom, żebym obydwoma językami mówiących (utrakwistów) duchownych wysyłał do pasterzowania polskim językiem mówiących górnoszlązaków.

Niedzielne katechizacye kościelne winny się stosować do uzdolnienia językowego dzieci i parafian i z tego powodu zaleca się odbywać je po niemiecku z polskiem objaśnieniem, albo po polsku i po niemiecku.

Jak często kazania niemieckie odbywać się mają, nie mogę wydać rozporządzenia do wszystkich okoliczności zastosowanego, dlatego, że stosunki są tak rozmaite; musi to więc być pozostawione uznaniu przewielebnego kleru parafialnego, żeby kazania niemieckie miewał, zaprowadzał i mnożył, skoro potrzebę tego w swojej gminie spostrzeże.

Wogóle trzeba się trzymać tej zasady, że wszędzie, gdzie tylko $1/4$ część parafii językiem niemieckim mówi i rozumie, regularnie się musi odbywać kazanie w obu językach, oraz czytanie perikopów, jako też zapowiedzi.

Tam, gdzie liczba parafian władających językiem niemieckim $1/4$ części nie wynosi, wystarczy peryodyczne nabożeństwo niemieckie, tj, kazanie niemieckie z niemiecką pieśnią przed kazaniem (Predigtlied), przyczem trzeba to uczynić zawisłem od stosunku parafian, mówiących po niemiecku.

Parafian, mówiących po niemiecku, należy upominać, żeby przy kazaniu niemieckiem nie byli rozproszeni po kościele, lecz ile możności przy sobie stali i siedzieli, aby śpiewanie pieśni niemieckiej przed kazaniem służyło ku zbudowaniu; w przeciwnym razie należy go zaniechać.

Tak samo należy postąpić, jeśli polskie kazanie odbywa się przed wielkiem nabożeństwem, a niemieckie bezpośrednio po niem.

Przew. duchowieństwo parafialne będzie ile możności (thunlichst) uwzględniało *osobne* życzenia parafian mówiących po niemiecku, mianowicie co do odprawiania nabożeństwa niemieckiego przy szczególnych okolicznościach.

Dekanaty otrzymały te okólniki w drodze poufnej i już zaczęły się do nich stosować.

Ludność słowiańska w Niemczech opuściła przed napływem germańskim kolejno wszelkie posterunki, broniąc się z wysiłkiem ostatnich sił z poza jednego szańca, wysunęła religię i dochownych na pierwszy plan i nią się opancerzyła. Niemcy też z łatwością brali każdą pozycyę opuszczoną, wypierając tuziemców ze wszystkich pól życia społecznego, a teraz uderzyli na ostatnie okopy. W nich broniono się stosunkowo dość długo, dziś jednak ci ubóstwiani dawniej księża zdradzili i oddali się w ręce nieprzyjaciół.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Powietrze polityczne jest tak zelektryzowane, że wywołuje objawy mocnego rozdrażnienia nawet w organizmach najspokojniejszych, najzdrowszych i najmniej czułych. Zatarg konserwatystów z liberałami w kantonie tessyńskim wydawał się z początku awanturą miejscową, która swego wpływu dalej nie rozszerzy. Tymczasem jakkolwiek wzburzony kanton pozostaje ciągle ogniskiem wrzenia, udzieliło się ono już całej Szwajcaryi. Wybuchają przytem sceny, których nie przywykliśmy widywać na tym klasycznym gruncie rozwagi obywatelskiej: ludność chwyta za broń, rzuca się na wojsko, popełnia gwałty itd. Rada związkowa daremnie uspokaja namiętności swoją powagą i rozumem; zaledwie stłumione wybuchają znowu. W łonie Szwajcaryi dojrzała widocznie zadawniona walka dwu żywiołów, które muszą ją stoczyć i dopiero po zmierzeniu swych sił uspokoją się.

Ponieważ kilka nowych wyborów do parlamentu oraz wybory gminne wypadły w duchu liberalnym, więc prorocy polityczni przepowiadają niedaleki upadek rządu torysów i zachód słońca whigów. Sam Gladstone jak gdyby wierzył w ten obrót koła Fortuny, bo coraz częściej występuje z mowami, w których obok krytyki wypowiada program. Ostatnie jego wystąpienie poświęcone było sprawie irlandzkiej i krzywdom uciemiężonego narodu. Gladstone prawie zupełnie przeszedł na stronę irlandczyków, ale, niestety, przeszedł za późno. Już mu bowiem nie wystarczy życia (ma lat 81) na przeprowadzenie tak wielkiego procesu. Gdyby był konsekwentniejszym na swem stanowisku liberała, byłby wcześniej dojrzał te prawdy, które mu dopiero dziś nad grobem świtają. Stracił on sposobność odegrania wielkiej roli wobec Irlandyi i pozostawi po sobie tylko spóźnione dobre chęci.

Nie w nim też Irlandya pokłada swoje nadzieje, ale we własnych, energicznych obrońcach, których na szczęście posiada

---

ROMANS W DUNACH

przez

Holgera Drachmanna. [1])

Ilekroć zbliżała się burza, spostrzegano starca, zjawiającego się po stronie domu od wiatru ubezpieczonej. Z oczami w fasadę utkwionemi, z zaciśniętemi usty, to drżącą ręką chwytał za kaptur z baranich skórek, który głowę mu okrywał, to palcami silnymi, kościstymi wypychał przedarte dziurki kaftana.

Złorzeczył powietrzu, a może też nietylko przykra pogoda była jego gniewu przyczyną; wie to jutlandczyk dobrze, że gniew w takim razie nie pomoże. Szemrał i mruczał, groził i skarżył się:

— Łotry, łotry! Źli, nikczemni ludzie! Pilnują dobrze tego, co do nich należy... tak, tego pilnują... ale dyabła dbają o dzieci biedaków! Te niechaj sobie giną: wolno je mordować, dusić... wolno im nawet tonąć!.. Ktoby tam zważał na ster... na wiosło!.. Oddajcie mi moich chłopaków... chłopaków moich, mówię!..

Zawodził, odgrażał i skarżył się, niby z wiatrem idąc w zapasy, który szalejąc, chwiejącą się postać starca w bok odrzucał. A starzec, któremu już dawno siódmy minął krzyżyk, opierał się tym napaściom ostatniemi siłami twardej, nieugiętej woli; chciał i musiał widzieć poprzez blado-szarawe wgłębienia dun, jak bałwany z hukiem wzbierały i do brzegów biegły, zwiastując, że przyszedł czas porównania nocy z dniem, okropny czas klęsk na morzu i mieliźnie. Niosły tę wieść i znikały.

Głos jego stawał się coraz słabszym, złamana postać chwiała się coraz bardziej. Burza wzmagała się. Burzę raduje cudze nieszczęście, a może jest ona nań obojętną: to wielka, pozbawiona uczuć potęga, potęga nieodpowiedzialna, która prawie jeżeli kiedykolwiek wogóle była wrażliwą na skargi ludzkie, czułość tę stopniowo własnym starała się przytępić krzykiem:

— Ho, ho, halo-o! Z drogi, łotry! Miejsca dla osiemdziesięciofuntowego działa! Z drogi! Ho, ho-o-oh!

I burza wdzierała się przez wgłębienie w dunach, wznosiła się przez pusty przesmyk, gdzie po obu stronach głębokiego łożyska widniała niewielka liczba tu i owdzie porozrzucanych domostw. I huragan uderzał o front domu z głuchym, gwałtownym hukiem ciężkiego, dalekiego strzału. Mury atak ten wytrzymały, ale starzec, znowu w tył odrzucony, zatoczył się prawie przed drzwi, które nagle otworem stanęły. Otworzyła je kobieta, a teraz stanęła na progu, aby silną dłonią podeprzeć wycieńczonego.

Nikt jednakże nie byłby zmiarkował, że w tym właśnie celu wzięła go pod ramię. Uczyniła to zupełnie spokojnie, niby przypadkowo. Przez małą, asfaltowaną sionkę poprowadziła go do pokoju. Stały w nim łóżko, skrzynia i stół czerwono pomalowany na tem samem jeszcze miejscu, które zajęły przed iluś jeszcze laty. Nie przemówili do siebie ani słowa. Posadziła go, kaptur zdjęła mu z głowy, mlekiem nakarmiła: dopiero wtedy stary zaczął się kiwać, pilnie szukać czegoś palcami i z trudnością oddychając, wybełkotał wreszcie słowa:

— Saro, książkę! Wyjmij książkę!..

Doszła do skrzyni i wyjęła z niej małą, grubą książkę: do połowy przez móle zjedzona oprawa ozdobiona była wyciskami z bronzu. Kobieta usiadła naprzeciw starego i wyciągnąwszy ręce, odsuwając w ten sposób książkę od oczów — zdaleka lepiej widziała — zaczęła czytać stronicę, na której otworzyła, bez przestanku, zupełnie mo-

---

[1]) Holger Henrik Herholt Drachmann ur. w r. 1846 w Kopenhadze, znakomity malarz, poeta, dramaturg i dziennikarz, należał do najgorliwszych szerzycieli nowych idej, wprowadzonych do Danii przej Jerzego Brandesa. Gorąco kochając lud i naturę wogóle, w szczególności zaś lud i naturę duńską, wybiera je jako przedmiot wszystkich swoich utworów. Życie rybaków, marynarzy. żeglarzy ma dla niego niewypowiedziany urok: to też poświęcił mu długie lata studyów i dzisiaj jest stanowczo pierwszym „poetą morza.“ Opowiadanie powyższe wyjęte jest ze zbiorku „Z morza i wybrzeży.“ (*Przyp. tłom.*).

wielu. Jak wiadomo, uwolnieni chwilowo z więzienia posłowie, O'Brien i Dillon, wyjechali tajemnie do Ameryki, ażeby tam zebrać środki pieniężne na dalszą walkę. Te starania, to gromadzenie sum jest charakterystycznem i pouczającem. Irlandya zrozumiała odrazu, że słowami przeciwników nie pokona i że musi uzbroić się w jakiś potężny oręż — i postanowiła zebrać wielkie kapitały. Już posiada znaczne w kasach ligi narodowej, ale chce je pomnożyć o tyle, ażeby mogła podtrzymać dzierżawców w oporze przeciw landlordom. Niema też dziś sprawy politycznej w Europie, któraby przedstawiała większe rękojmie zwycięztwa dla pokrzywdzonych, jak irlandzka. Rękojmie zaś te spoczywają nie w sprawiedliwości, ale w energii i umiejętnie wytwarzanej sile.

Izba francuska robi ciągle budżetowe obrachunki z rządem, głęboko zapuszczając swe nożyce dla obcięcia rozchodów. Setne poty wychodzą na skórę ministra skarbu Rouviera, który już kilkakrotnie pochylił się i miał upaść — dotąd jednakże stoi.

Pogłoska o wycieczce prezydenta Carnota na przyszłoroczną wystawę do Moskwy utrzymuje się ciągle, podsycana wzrastającą nieprzerwanie sympatyą Francyi do Rosyi.

Portugalia złożyła sobie wreszcie gabinet ministeryalny, który zapukał do Johna Bulla z pokorną prośbą o ustępstwa w sprawie posiadłości afrykańskich i dostał szorstką odprawę. Lew angielski ani myśli wypuszczać ze swoich łap tego, co w nich trzyma, a kłopoty króla i dynastyi portugalskiej bynajmniej go nie rozczulają.

Wilhelm III, król holenderski uznany został nakoniec niezdolnym do rządów, które złożono po raz drugi w ręce jego żony co do Holandyi i ks. Nassauskiego, jako regenta Luksemburgu.

Jeżeli wierzyć można ostatnim doniesieniom, Milan nie wytargował dodatku do pensyi dotychczasowej, otrzymał tylko ostateczne zatwierdzenie rozwodu. Żona jego ma ogłosić dokumenty tej sprawy wraz z objaśnieniami i osiedlić się w Paryżu.

Na Stanleya posypały się nagle ciężkie oskarżenia, zdaje się, wywołane przez d-ra Petersa, który niedawno powrócił z Afryki a jest duchem bardzo niespokojnym. Najdotkliwsze są zarzuty ze strony towarzyszów wyprawy znakomitego podróżnika, którzy mu przypisują pośrednią winę śmierci majora Bertelota (naczelnika oddziału pozostawionego przez Stanleya). Ratowanie Emina miało być płaszczem, pod którym kryła się chęć zabrania jego zapasów kości słoniowej.

SPRAWY EKONOMICZNE.

„HARMONIA SPOŁECZNA."

Sądząc powierzchownie, możnaby mniemać, że jesteśmy społeczeństwem wyjątkowem. Rubel odbywa bezustanne podrygi: podnosi się, spada, to znowu idzie do góry. Wahania, które przebył w przeciągu ostatniego roku, są nader silne. Zdawałoby się już z góry, że te zmiany winny odbić się jakoś na ludności i wywołać w niej różne uczucia, bądź radości, bądź pewnego niezadowolenia, stosownie do interesów i warunków ekonomicznych. A tymczasem przerzucając naszą prasę chyba nadaremnie poszukiwalibyśmy takiej różnorodności westchnień. Raczej widzimy w niej zupełną zgodność chóru. W przypadku kiedy rubel podskoczy do góry, zdarza się, że wszyscy radują się, jakby jedna dusza; jeśli spada on w kursie, dają się słyszeć powszechnie nuty smętne. To znowu dzieje się na odwrót i poczynają się jednolite utyskiwania z powodu zwyżki. Zresztą rzecz najważniejszą stanowi nie to, jaki w danej chwili panuje nastrój, lecz to, że każdy zwrót odbija się harmonią głosów bez najmniejszego rozdźwięku. Być może po bliższem zbadaniu możnaby wyznaczyć miesiące takiego lub innego zachowania się; podejrzywam np. zgóry, że porą wiosenną, kiedy stodoły szlachcica świecą pustkami, prasa nasza będzie radowała się każdej zwyżce, a opłakiwała każdą zniżkę rubla; że przeciwnie w jesieni, kiedy one się zapełnią zbożem, nastrój dzienników będzie objawiał odmienne uczucia. Zresztą objaw ten występuje nie zawsze w takiej bezpośredniej postaci— niekiedy przybiera maskę. Z końcem sierpnia w jednolitym naszym chórze śpiewaków ekonomicznych spostrzedz można wpływ sezonu zbożowego. Wszystkie głosy będą wyrażały to lub inne uczucie, zależne od tego, jak przyjęto i oceniono nasze zboże na rynku wszechświatowym. Jeśli ceny jego są nizkie, wtedy rozpoczyna się powszechne ubolewanie, że społeczeństwo zbankrutuje. Zwyżka cen przejmuje wszystkich radością. Ponieważ one zależą od stosunków na rynku międzynarodowym, a gdy wszystko na nim pozostaje bez zmiany, ceny zboża będą się podnosiły ze spadkiem, spadały ze zwyżką rubla, mamy więc tutaj do czynienia z istotnem utyskiwaniem na wysoki, a radością z nizkiego kursu rubla. Naiwny umysł wyciągnąłby z tej jednolitości głosów wniosek, że jesteśmy społeczeństwem wzorowem, gdzie jedno uczucie ożywia wszystkich i że brzydkie teorye, głoszące jakoby w każdym tegoczesnym narodzie toczyła się walka o śmierć i życie pomiędzy oddzielnemi klasami, znajdują u nas najzupełniejsze zaprzeczenie. Lecz dość udać się do dworu szlacheckiego, a w tej chwili usłyszymy krańcową teoryę, że temlepiej na świecie, im rubel stoi niżej, rozsądniejsi dopełnią swoje zapatrywanie dodatkiem, że niech na wiosnę stoi on sobie, jak zechce, a nawet może podskoczyć do góry, aby tylko spadł jak najmniej podczas sezonu zbożowego. Po wizycie u szlachcica idźmy do przemysłowca lub kupca, a natychmiast spotkamy zupełnie inne przekonania. Radość obywatela ziemskiego przechodzi tu w smutek. Wycieczka ta do istotnego społeczeństwa winna nas przekonać, że nie w braku antagonizmów klasowych, spoczywa źródło wzmiankowanej jednolitości. Powody zgody są zgoła inne. Mianowicie naprzód mamy do czynienia ze społeczną obłudą, która postanowiła za wszelką cenę zachowywać pozory jednomyślności; powtóre, ulegamy po części popędowi stada, który każe beczeć wszystkim baranom, skoro jeden odezwał się w szczególny sposób.

Przyjrzyjmy się zblizka temu całemu splotowi antagonizmów, które występują na jaw przy zwyżce lub zniżce cen zboża, a w dalszym ciągu kursu rublowego. Czy wysokie ceny zboża istotnie przynoszą korzyść dla całego społeczeństwa, a nizkie powodują ogólną szkodę? Weźmy naprzód ostatni przypadek, kiedy zboże spada w cenie. Nie ulega wątpliwości, że dla wytwórców jest to okoliczność zgoła nie pożądana. Dochód otrzymany ze sprzedaży zmniejszył się, a tymczasem ciężary podatkowe wraz z ceną produktów miejskich pozostały dawne. Naturalnie położenie wygląda zgoła inaczej dla żywiołów miejskich, a w tej liczbie najmickich. Wprawdzie dla grupy

---

notonnie, od kropki do kropki, od wiersza do wiersza. A na dworze wiatr żałośnie jęczał, niby pies, co prosi, żeby go do wnętrza wpuścić.

Szorstka broda starca coraz bardziej na piersi opadała, palcami ciągle jeszcze przebierał: gniew wewnętrzny walczył w nim z zewnętrznem, upajającem działaniem czytanej książki; potem ręce stopniowo zaczęły się zbliżać, jeszcze raz wykrzywiły się, niby z bólu, spoczęły na chwilę złożone, wreszcie bezsilnie owisły. Położyła ucho do jego ust. Szeptał: Saro, Sa-ro, to burza! Czytała dalej do następnego punktu — szeptał: „Chłopaki! Saro! Chło-paki!" Podniosła głowę i silniejszym głosem przeczytała:

— Jako powiedziano w psalmie: „Piękną, wspaniałą jest dusza chrześcian" — naturalnie o prawdziwych chrześcianach mowa, co to:

O znikomości świadcząc wyraźnie,
Od reszty ludzi nie różnią się wcale,
Sypiają, czuwają, pracują, wędrują,
Cierpienia i bóle znosząc wytrwale.
W codziennem życiu,
W jedzeniu i piciu
Tych samych, co wszyscy zasad się trzymają,
Lecz dla uciech świata wzgardę odczuwają.

Urwała i spojrzała na niego. Spał.

Wtedy podniosła się bez szelestu, odłożyła książkę, rozebrała go od stóp do głowy, ułożyła na pościeli, przykryła, wypiła resztę mleka ze dzbana i stanęła przed skrzynią. Na ścianie wisiały trzy fotografie, każda otoczona wianuszkiem z nieśmiertelników, trzy podobizny młodych marynarzy, braci, jak z łatwością można było wywnioskować. Dwaj młodzi nosili ubranie marynarskie, najstarszy miał na sobie zwykły strój odświętny rybaków. Dla większej dokładności i piękności kolor ubrania był odznaczony silną niebieską farbą, grubo nałożoną, podczas gdy policzki zdobił karmin.

Stanęła przed fotografiami i patrzyła na nie. Poprawiła coś koło wianuszka, tu i owdzie wytarła jakiś znak po muchach, spróbowała małe gwoździki, wbite w kółka skromnych ramek. A wszystko to bez szmeru, spokojnie, miarowo. Potem obróciła się i rzuciła okiem na łóżko. Następnie zdjęła jedną fotografię ze ściany, potrzymała ją przez chwilkę w ręku, daleko przed sobą, jeszcze dalej i — powiesiła ją na dawnem miejscu.

Poszła do kuchni i wzięła się do łamania drzew, które następnie kładła pod kociołek do kawy. Od czasu do czasu przerywała zajęcie, przysłuchując się u drzwi, czy stary czasem nie woła. Nagle wpadła w zadumę. I znowu słuchała, czy Kren Normand nie woła.

Na imię było jej Sara. Od lat trzydziestu była żoną Krena Normanda. Miała lat przeszło pięćdziesiąt, on — przeszło osiemdziesiąt. Mieszkali, żyli w tej oto kotlinie, między dunami, naprzeciw morza. Trochę wyżej, w tej samej kotlinie leżało kilka porozrzucanych domków i jeden większy dworek. Tam zaczynały się już pola uprawne, tu rosły tylko kartofle; prawda, była tu jeszcze mała łąka dla paru owiec; resztę potrzeb musiały zaopatrywać: wybrzeże i morze.

Już od wielu lat stary nie wypływał na morze. Ludzie jednakże mówili, że z dawnych czasów Kren ma trochę uciułanego grosza. Paręset „koron" może — a i to jest już sumką tutaj, gdzie las, ziemia żyzna, torf i łąka należą do krainy bajek, do wdzięcznych gadek, których dzieci z dun słuchają tak samo, jak my — opowieści o drzewie sandałowem, purpurze, złotym piasku i perskich dywanach.

Ludzie w dunach żyją i umierają na jednem miejscu, jeżeli przypadkowo nie giną na morzu. Zdarza się to nieraz. Od czasu do czasu tonie ktoś, kto chciał uratować życie i mienie sąsiada-rozbitka, który ze szczątkami okrętu osiadł gdzieś na mieliźnie. Ciężko giną tacy, co wobec nagłej burzy lub przy niespodzianym zwrocie prądu chcą na chwiejnem, słabem czółenku dostać się z miejsca połowu na brzeg przeciwległy. W chwili przybijania do brzegu jedna mała pomyłka sprowadza częstokroć zgubę. Woda to żarłoczna: corocznie domaga się żeru, na swój sposób, brutalnie, z rykiem. Lecz niebezpieczeństwo grozi nietyl-

kupieckiej zyski otrzymane z tego, że produkty rolne staniały, równoważy się po części stratami, pochodzącemi stąd, że wskutek zmniejszenia dochodów u rolników ci ostatni mniej kupują. Żywioły najmickie, zarówno miejskie, jak i wiejskie, odnoszą też korzyści, chociaż jedynie czasowe. Wobec natłoku rąk roboczych na rynku pracy płaca obniża się odpowiednio do zniżki cen zboża, lecz w każdym razie te ostatnie spadają prędzej, tak iż przez czas niejaki korzystają z tańszego chleba. Naturalnie trwale zyskują na stanieniu produktów rolnych przedsiębiorcy fabryczni, gdyż mogą użytkować z mniej kosztownej siły roboczej. To też walka pomiędzy kapitalizmem miejskim, a obywatelstwem ziemskim obraca się głównie dokoła cen zboża; pierwsi pragnęliby doprowadzić je możliwie do najniższego poziomu, drudzy wyszrubować jak najwyżej, a przykładów tej walki moglibyśmy przytoczyć mnóstwo, chociaż ograniczymy się do wspomnienia jedynie o agitacyi przeciwzbożowej w Anglii — o sporze historycznej sławy. Lecz jeśli zniżenie cen zboża przynosi chwilową ulgę najmitom, natomiast wszelkie podwyższenie oznacza dla nich trwałą i nieprzemijającą tak łatwo klęskę. Zwyżka wywołuje natychmiastowe podrożenie środków spożywczych, tymczasem płaca jest utrzymywaną wciąż na dawnym poziomie, dzięki istnieniu tak zwanej rezerwy głodnego proletaryatu, która znajdując się bez zajęcia spełnia w życiu ekonomicznem kraju jedno tylko posłannictwo, mianowicie swoją konkurencyą obniża zarobek ludzi posiadających jakieś zatrudnienie. Naturalnie, jeżeli zwyżka utrwala się, płaca podnosi się też zwolna, lecz potrzebuje na to bardzo długiego okresu czasu. A zatem wyższe ceny zboża są istotnem nieszczęściem dla całej masy ludu najmickiego, zwłaszcza miejskiego, bo wiejski otrzymując poniekąd wynagrodzenie w naturze, jest wyjęty z pod wpływów tego wahania. Słowem, owo „społeczeństwo,“ tak jednolite i harmonijne w wypracowaniach ekonomicznych naszego dziennikarstwa, przy bliższem wejrzeniu rozpada się na grupy z nader sprzecznymi a odmiennymi interesami. Nadaremnie poszukiwanoby tutaj jakiejś zgody. Ten stosunek sprzeczności interesów istnieje nietylko pomiędzy uprzywilejowanemi klasami ziemskiemi a najmitą, lecz też pomiędzy najmitą a włościaninem. „Lud“ ukazuje się tem, czem jest w istocie rzeczy — gromadą różnorodną, złożoną z bardzo odmiennych żywiołów. Jak „ludowcy,“ gotowi jednakowo przytulić do serca interesy chłopa i najmity, sprzęgają w umyśle swoim te tak różne pierwiastki, niepodobna zrozumieć, lecz widocznem jest, że jak istnieją skoczkowie na linie, podobnie są akrobaci społeczni, którzy umieją czynić skoki, niemożliwe dla innych umysłów.

Skończywszy z wpływami, które wywiera zniżka lub zwyżka cen zboża, możemy przejść do znaczenia wahań kursu rublowego. Kraj nasz wywozi na Zachód niemal jedynie płody rolne, i naturalnie wszelkie zmiany w kursie rubla odbijają się na cenie zboża, następnie w ten lub inny sposób na ludności. Wysoki kurs to klęska ziemian i włościan, a korzyść najmitów i wszelkich żywiołów miejskich, zniżka jest znowu istotnem nieszczęściem najmitów, ale czystym zyskiem rolników. W tym razie płacz jednych jest powodem uciechy dla drugich. Wreszcie kurs niski lub wysoki rubla pociąga odpowiednie straty lub korzyści dla wszystkich, którzy znajdują się w stosunkach handlowych z zagranicą, albo są spożywcami produktów przychodzących ztamtąd. Warstwy kupieckie, inteligencya miejska i wogóle zamożne żywioły kapitalistyczne, wszystkie te grupy znajdują się w podobnem położeniu.

Rozbiór ten, naturalnie dorywczy, wskazuje jednakże, jak naiwnemi są wszystkie śpiewki, głoszące, że walka interesów w społeczeństwie i rozpadanie się jego na wrogie sobie obozy jest wymysłem, nieodpowiadającym rzeczywistości. Widzimy dobitnie, że napróżno poszukiwalibyśmy jakiegoś harmonijnie uorganizowanego „społeczeństwa“; spostrzegamy tylko natomiast różne grupy, gotowe w każdej chwili wypowiedzieć sobie walkę.

R. K.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZWIĄZEK MIĘDZYNARODOWY PRAWA KARNEGO.

II.

Drugi zjazd kryminologów odbył się 12 i 14 lipca 1890 r. w Bernie (Szwajcarya) przy liczniejszym udziale członków i z większą okazałością, aniżeli pierwszy. Z uczestników powszechną zwracała na siebie uwagę pani Kempin, profesorka prawa w uniwersytecie new-yorkskim. Natomiast zebranie niemile dotknięte zostało nieobecnością włochów. Posiedzenia odbywały się w sali szwajcarskiej Rady związkowej, a na pierwszem i ostatniem przewodniczył prezydent Ruchonnet. W serdecznej mowie powitalnej wyraził się on między innemi, „że dzięki młodzieńczej energii i zabiegliwości Związkowi kryminologów uda się zapewne wypracować projekt międzynarodowego kodeksu karnego, którego pojedyncze rozdziały wcielone zostaną do prawodawstw obowiązujących.“ Jako odpowiedź na to wezwanie uważać należy uchwałę zjazdu, aby biuro Związku zajęło się w najbliższej przyszłości ułożeniem porównawczego wydania europejskich prawodawstw karnych.

Program berneńskiego zjazdu obejmował następujące 4 pytania:

1) Jakie cechy mogą być wskazane i polecone uwadze prawodawczej dla rozpoznawania niepoprawnych przestępców i jakie przeciwko tym ostatnim powinny być użyte środki?

2) Od jakiego wieku należy rozpoczynać dochodzenie kryminalne przeciw przestępcom nieletnim? Czy przymusowe wychowanie nieletniego ma być zależnem od spełnienia przezeń czynu przestępnego? Czy jest rzeczą niezbędną i korzystną uczynić sposób postępowania z występnemi dziećmi zależnym od rozstrzygnięcia pytania, czy działały one ze świadomością lub nie?

3) Czy możebnem jest zastąpienie w niektórych wypadkach krótkotrwałego więzienia obowiązkową pracą na użytek publiczny bez zamknięcia?

4) Czy może i powinien prawodawca zwrócić większą, aniżeli dotychczas, uwagę na kwestyę cywilnego odszkodowania osoby, materyalnie skrzywdzonej popełnionem przestępstwem, oraz na prawa pokrzywdzonego wogóle?

Ponieważ ostatnie pytanie nie było rozważane wcale, prace zjazdu ograniczyły się na rozbiorze pierwszych trzech.

Prof. Lilienthal wyłożył swe poglądy, dotyczące niepoprawnych, zawarte w referacie, umieszczonym poprzednio w *Bulletin de l'Union.* Uznaje on fakt istnienia niebezpiecznej klasy przestępców, którzy stali się niepoprawnymi bądź wskutek przyczyn fizycznych (zwyrodnienia, alkoholizmu, cho-

---

ko ze strony mielizny, prądu, wyładowywania. Stojąc wyżej na wale i patrząc na otwarte morze przez teleskop, nieraz spostrzedz można śmiały okręt, który pada ofiarą szalejącego orkanu lub też ubezwładniony ulega przemocy swych przeciwniczek, ciężko zbrojnych, a jednak tak lekkich fal. Okręt i osada giną, a ani „Börsenhalle,“ ani „Shipennig Gazette“ żadnych nie mogą dać wyjaśnień, jak i gdzie wypadek nastąpił. Oczywiście dobra budowa statku i zdolność kapitana mogą od ostatecznej zguby uchronić, z drugiej jednak strony silny wir niech porwie tego lub owego, niech pęknie drąg ochronny, żagiel, sprężynka, a nieszczęście gotowe. Wtedy niczem skargi, niczem żale na kapitana lub sterowników, których opieszałość nieszczęścia niby ma być przyczyną.

Urodzić się tu, w tych dunach, na tem wybrzeżu, gdzie nie masz ani lasu, ani ziemi żyznej, ni torfu, ni łąki, to prawie urodzić się w państwie nieubłaganej potrzeby. Gdyby przynajmniej jaka osada rybacka w pobliżu — możnaby spółkę z nią zawiązać, kupić potrzebne statki i wspólnie połów odbywać. Lecz tu niema nic, prócz paru źle osmolonych czółen i chałup z chudemi owcami, chudemi łąkami i ogrodem, w którym nic się nie rodzi, prócz kartofli. Chłopców przyzwyczajają od dzieciństwa do samotnych prawie wycieczek na morzu. Wypływają na złych czółnach, zwożąc, co się da. Później zapisuje się ich do marynarki, potem pozwala im się przedsięwziąć wyprawę na własną rękę. Jeżeli uda się szczęśliwie z wycieczki powrócić, młodzi zrastają się z tym piaskiem, z temi dunami, narażają życie i od pokolenia do pokolenia stwierdzają odwieczny pewnik, na mocy którego dowiadujemy się, jakie korzyści zwyczaj i wola z życia ludzkiego ciągnąć mogą.

Miłem, lekkiem i przyjemnem życie to nie jest. Skromnie i z mozołem żyć tu trzeba, surową, ciężką, ponurą jest atmosfera tych chatek.

Kren Normand miał trzech synów. Sam wcześnie poznał poważną stronę życia. Ojciec jego posiadał małe czółno w Norwegii. Chłopak urodził się po tamtej stronie w Kristiansand; ojciec wziął go z sobą, kiedy zaledwie o własnej sile stać umiał na pokładzie. Było to za Napoleona, w czasie wojny. Anglicy czółno spostrzegli i w pogoń się za niem rzucili. Ojciec i syn dostali się do niewoli; wymieniono ich później na inne sprzęty, tak, że znowu udali się na morze, aż wreszcie rozbili się tutaj o brzeg, nieopodal ojczystego swego kraju.

I cóż! Ta ziemia, to wybrzeże niby przemocą chłopca przykuć do siebie chciały, Ojciec został sam na mieliźnie, syn wybił się na ląd. Mieszkańcy dun ochrzcili go Krenem i Kren został parobkiem u głównych gospodarzy; bawił jednak więcej w czółnie i na morzu, aniżeli koło owiec lub w szałasach. Mały, czerstwy, muskularny, wytrzymały, bystrooki, lekceważący sobie osobiste niebezpieczeństwo, dobrze znający własną korzyść, uwijał się zawsze koło rybołówstwa, ratował rozbitków itp. Upłynęło parę lat zaledwie, a znano go na całem wybrzeżu o tyle z krnąbrnego milczenia, o ile ze zręczności w wiosłowaniu.

Ożenił się wcześnie z dziewczyną już niemłodą, która przyniosła mu w posagu połowę małego domku. Brat jej, który był właścicielem drugiej połowy, zginął pewnej nocy zimowej, w czasie zawiei, na wybrzeżu. Śnieg go może zasypał, albo wicher może w wodę zdmuchnął, a wir do szalonego tańca porwał. Dużo zeszło czasu, zanim trup na powierzchnię wód wypłynął.

Małżonkowie Normand zostali tedy panami całego domu. Urodziło im się po kolei trzech synów.

Byli oni dumą ojca. Milczący, skryty, spoglądał na nich lśniącemi od szczęścia oczami, wydając krótkie, zwięzłe rozkazy na czółnie. Cieszył się, widząc, że wypełniali je chętnie i żwawo, że tak zupełnie krwią z krwi i kością z kości jego byli.

(D. n.)

rób itd.), bądź też wskutek złych nałogów i nawyknień tak głęboko zakorzenionych, iż żadne środki przez społeczeństwo użyte nic są w stanie skierować osobników na drogę normalnego życia. Zastrzegłszy, że tu mowa tylko o względnie, a nie bezwzględnie niepoprawnych, wyrzekając się zewnętrznych cech i kategoryj, skreślonych przez Lombrosa i jego szkołę, Lilienthal, a wraz z nim Leveillé, położył nacisk na konieczność stosowania tu kar specyalnych. Proponowano kary dożywotnie, a Leveillé polecił deportacyę. Niektórzy kryminolodzy wyrazili zdanie, iż należałoby oznaczyć kary zwykłe z pozostawieniem społeczeństwu możności stosowania już po odcierpieniu kary pewnych środków bezpieczeństwa. Przeciw dogmatowi niepoprawności wystąpili Wulfert i prof. Fojnickij. Ostatni przeczy istnieniu oddzielnej *klasy* niepoprawnych. Tak zwani niepoprawni z przyczyn tkwiących w nienormalności organizacyi fizycznej powinni być zupełnie wykluczeni z dziedziny prawa karnego, są to bowiem chorzy potrzebujący leczenia, a nie kary. Co się tyczy niepoprawnych wskutek przestępnego nałogu lub zawodu, to każde przyzwyczajenie każe przypuszczać odzwyczajenie, a ponieważ poprawa w znaczeniu społeczno-prawnem znaczy tyle, co przystosowanie się do warunków normalnych, do których zdolności nie mamy prawa odmawiać nikomu, więc istnienie między przestępcami osobników *niepoprawionych* powinno być tłomaczone nie ich stanem indywidualnym, trwałym i niezmiennym, lecz głównie ułomnością tych środków wychowawczych, jakimi obecnie społeczeństwo rozporządza. Ostatecznie nieznaczną większością 24 głosów przeciwko 22 kongres uchwalił wniosek następujący: 1) Istnieją przestępcy, względem których, wskutek ich fizycznego lub moralnego stanu, zwykłe środki represyjne okazują się bezsilnymi i niedostatecznymi. 2) Do nich głównie zaliczeni być powinni zatwardziali recydywiści, będący przestępcami zwyrodniałymi lub zawodowymi. 3) Osobniki te powinny ulegać karom specyalnym, mającym na celu uczynić ich nieszkodliwymi, lub, jeśli można, poprawić, a to względnie do stopnia zepsucia i grożącego z ich strony niebezpieczeństwa dla ogółu.

Drugie z kolei pytanie składało się, jak widzieliśmy, z trzech części. Rozbiór części drugiej odroczono z powodu nieobecności referentów, pierwszą referował Gauclair, trzecią — Fojnicki. W walce z przestępstwem, według Gauclaira, podział środków na karzące i zapobiegawcze jest niewłaściwy, bo te i tamte mają na widoku bezpieczeństwo publiczne. Niebezpiecznym zaś i szkodliwym może być każdy człowiek w wieku nawet najmłodszym, z tego więc względu prawodawstwo nie powinno być krępowane żadnym z góry określonym wiekiem, od którego można by było rozpoczynać represyę. Wyjątek stanowią wypadki, jeśli idzie o czyny, których przestępność tkwi nie w naturze rzeczy (delits naturels) lecz w przepisach obowiązującego prawa (délits positifs): tu środki karzące nie powinny być stosowane względem nieletnich pewnego wieku. Odmiennego zdania był prof. Fojnicki. Kładąc nacisk na różnicę między karą a prewencyą, wykazał on zupełną niewłaściwość stosowania pierwszej względem dzieci, w przeciwnym bowiem razie należałoby wytaczać procesy kryminalne nawet niemowlętom przy piersi. Rzeczą pierwszorzędnej wagi jest zatem kwestya o samem pojęciu „dzieciństwa,“ dla określenia którego istnieją dwa systemy: francuski, dozwalający sądowi rozstrzygać to pytanie w każdym wypadku, i niemiecki, według którego wiek niepoczytalności ustanawia sam prawodawca. System drugi staje się panującym, zyskując nawet we Francyi coraz więcej uznania. Różnica zachodzi tylko co do samego wieku, który np. we Włoszech wynosi 9, w Rosyi 10, w Niemczech 12 lat, zaś najnowsze badania zdają się prowadzić do przekonania, iż cyfra odnośna powinna być nieco wyżej posunięta, mianowicie do lat 14. Co się tyczy kwestyi „rozeznania“ w działaniu nieletnich, referent, wykazawszy nieokreśloność tego terminu i trudności, jakie przy rozstrzyganiu w praktyce nastręcza a także zupełną jego nieprawidłowość i zbyteczność, proponował usunięcie tego pytania i zastąpienie innem a mianowicie, czy nieletni potrzebuje opieki publicznej? W razie odpowiedzi potwierdzającej los nieletniego powinien być rozstrzygany względnie do jego właściwości indywidualnych, t. j. jeśli w kraju istnieją rozmaite rodzaje zakładów przymusowego wychowania dla młodzieży (szkoły poprawcze i wychowawcze), to oddanie tam dziecka powinno zależeć nie tylko od faktu spełnienia przestępstwa, lecz także od innych okoliczności, a przeniesienie z jednego zakładu do drugiego ma być możliwie ułatwione. Zgodnie z wywodami referenta Zjazd znaczną większością głosów uchwalił: „1) Wszelkie środki karzące przeciwko nieletnim do lat 14 są niewłaściwe. 2) Przy rozstrzyganiu sposobu postępowania z nieletnimi przestępcami pytanie o „rozeznaniu“ powinno być wykluczone. 3) Względem nieletnich do lat 18 ma być postawione pytanie, czy potrzebują oni opieki władz publicznych? 4) Do nieletnich stosować należy system środków zgodny z indywidualnemi właściwościami każdego.“ Zauważyć należy, że jak Zjazdowi zakomunikował Prins, w Belgii niedawno wyszło rozporządzenie ministeryalne, które zaleca umieszczenie nieletniego w zakładzie tej lub owej kategoryi, nie krępując się bynajmniej faktem popełnienia przez niego przestępstwa. W ten sposób różnica między dziećmi występnemi a zaniedbanemi (enfance coupable, enfance abandannée) coraz bardziej zatarta zostaje.

Jeszcze na kongresie brukselskim zapadła była uchwała, która w rzędzie środków mających zastąpić krótkoterminową karę więzienną wymienia przymusowe roboty publiczne bez zamknięcia. Z myślą wprowadzenia tego rodzaju kary po raz pierwszy wystąpił hr. Foresta na londyńskim kongresie więziennym (1872). Zrazu przyjęto ją z zapałem, lecz w następstwie zapał ten ostygł — kiedy się przekonano, że urzeczywistnienie projektu zwłaszcza na większą skalę, spotyka nieprzezwyciężone przeszkody i trudności. Z tego powodu kongresy penitencyarne zachowywały się bardzo powściągliwie względem tej kwestyi, a w referacie, złożonym zjazdowi berneńskiemu przez Baumgartena, była mowa jedynie o zamianie na roboty publiczne kar pieniężnych (nie więzienia) w razie niewypłacalności skazanego. Atoli prof. Fojnicki zauważył, iż nawet do rozstrzygnięcia tak postawionego pytania Zjazd nie jest należycie przygotowany, a to z powodu, że kary pieniężne w rozmaitych wypadkach różne mają znaczenie, należałoby więc przedewszystkiem dokładniej je zbadać. Kongres przychylił się do tego zdania i pytanie o robotach przymusowych odroczył.

Związek międzynarodowy prawa karnego, jak czytelnik z powyższego przedstawienia mógł się przekonać, pozostaje wierny wygłoszony w programie zasadom i nie zbacza zdrogi, jaką sobie dla pracy swej wytknął: zerwać z metafizyką i oderwanemi kwestyami, aby zająć się jedynie palącemi zagadnieniami prawa karnego na gruncie rzeczywistości i rzeczywistych potrzeb społeczeństwa.

Leon L.

ZMARLI.

Dr. Nussbaum.

Chirurgia nowoczesna odniosła trzy tryumfy: zwyciężyła ból, krwawienie i gnicie (sepsis). Każdy z tych tryumfów ma swego głównego wodza, ale ma także wielu dzielnych zapaśników. Należał do nich świeżo zmarły profesor uniwersytetu monachijskiego, dr. Nussbaum. Pomimo szerokiej sławy skromny w uznawaniu swoich zasług, chętnie przysądzał je innym. W jednej ze swoich mów wymownemi słowami odmalował on postępy chirurgii między rokiem 1840 a 1880. Ten obraz, nakreślony przez świadka i uczestnika dwu epok, lepiej uwidocznia dokonany przełom, niż najdłuższe wywody. „W r. 1840 — powiada Nussbaum — kładziono jęczącego i przestraszonego chorego na stół operacyjny. Gdy mu odcinano nogę, wydawał krzyki strasznego bólu, często rozdrapywał sobie paznokciami twarz lub gryzł wargi. Na sążeń tryskała w górę krew, ten cenny sok życia, a pewna jej ilość ginęła mimo zabezpieczeń. Nieraz wszystkie środki pobudzające nie zdołały pokonać niebezpiecznego upadku sił, a jeżeli nawet to się udało, następował poważny proces gojenia rany. Operowani tygodniami leżeli w wielkiej gorączce, bez apetytu, wycieńczeni, ropiejący. Większa ich część umierała w szpitalach na piemię. Obawiano się stołu amputacyjnego, jak szafotu. A spojrzmy dziś po latach 40 (1880). Chory kładzie się bez obawy. Podczas usypiania chloroformem śpiewa i gawędzi. Przez czas pewien trzymamy nogę podniesioną do góry, ażeby krew opadła. Opaską Esmarcha wpieramy ją aż do ostatniej kropli, pod kautelami Listera operujemy, nie zakrwawiwszy stołu, nakładamy jego opatrunek i oczekujemy zagojenia się bez reakcyi. Nie ma gorączki, nie ma ropienia, opuchnięć — zaledwie czerwony brzeg rany. Cóż to za dobrodziejstwo dla cierpiących!“ Niewątpliwie. Zwłaszcza dzięki Listerowi chirurgia dokonała w drugiej połowie naszego wieku zdumiewających postępów, zamieniła się na rodzaj krawiectwa anatomicznego, które pozwala sięgać nożem tam, gdzie dawniej nie śmianoby go wprowadzić, a nadewszystko redukuje przebieg operacyi zarówno pod względem niebezpieczeństwa, jak cierpień do minimum.

Całą tę zdobycz wiedzy nowoczesnej bądź pomnożył, bądź znakomicie zużytkowywał jako profesor i operator — Nussbaum. Licznych jego dzieł nie wymieniamy, bo ocena ich nie do nas należy. Zaznaczymy tylko, że sam on wypróbował na sobie dobrodziejstwa chirurgii, złamawszy obie nogi. Gdy w kilka lat po prawej złamał lewą, podziękował z humorem lekarzom, że mu ją uczynili nieco krótszą, gdyż tym sposobem wyrównali ją z drugą.

M. Nowicki.

Uniwersytet krakowski zubożył się o poważną siłę naukową przez śmierć Nowickiego, profesora zoologii. Szereg prac jego jest bardzo długi, a obok podręczników (Zoologii) zawiera przeważnie rozprawy dotyczące przedmiotów i zagadnień specyalnych. Ze szczególnem zamiłowaniem zajmował się Nowicki ichtyologią (ryboznawstwem), a galicyjska kultura ryb zawdzięcza mu wiele. Nietylko bowiem uczył, ale sam zarybiał rzeki i jeziora krajowe. Za tę pracę należy się jego imieniu wdzięczna pamięć.

H.

BADANIA NAUKOWE.

LITERATURA EKONOMICZNA WE FRANCYI.

F. d. Coulanges o pierwotnym komunizmie rolnym. — Dowody w dziele Jubanville'a i Dottina. — *L'impot* Denisa. — Podręcznik ekonomiczny.

Literatura społeczna francuska zbogaciła się w roku bieżącym kilkoma cennymi nabytkami. Poświęcimy im, w miarę możności, krótką wzmiankę, albo też obszerniejszy rozbiór.

Na kilka miesięcy przed śmiercią Fustel des Coulanges umieścił w *Revue historique* (1889) artykuł, w którym stara się okazać, iż wszystkie istniejące dowody o pierwotnym komunizmie rolnym nie są dostatecznie uzasadnione. W ten sposób znako-

mity uczony próbował podważyć jedno z głównych twierdzeń współczesnej socyologii, musimy wszakże przyznać, iż krytyka jego w danym razie była zupełnie chybiona. Gminne władanie ziemią u wszystkich społeczeństw pierwotnych można już dziś uważać za fakt, nieulegający wątpliwości: dowody gromadzą się w coraz większej liczbie. Dla Francyi zebrali je jeszcze raz i w sposób gruntowny d'Arbois de Jubanville i G. Dottin w dziele noszącem tytuł: *Récherches sur l'origine de la proprieté foncière et des noms des lieux habités en France*. (Période celtique et période romaine, Paryż 1890, str. 730).

Jak sam tytuł wskazuje, dzieło to składa się z dwóch części, z których jedna wypełniona filologicznym rozbiorem nazw różnych miejscowości francuskich, druga zaś poświęcona analizie początków własności ziemskiej we Francyi. Autorowie rozpoczynają swe badanie od czasów najścia germanów, którzy przekroczyli Ren w 500 lat przed Chr. Zastali oni własność gminną, a jakkolwiek ziemia uległa nowemu podziałowi pomiędzy zdobywców, to jednak charakter komunistyczny posiadania i u nich został nienaruszony. Ustrój rodowy z towarzyszącą mu równością był jeszcze w zupełnym rozkwicie. Za czasów podboju Cezara znajdujemy stosunki te już znacznie zmienione. Podział na bogatych i ubogich, na arystokracyę i plebs już się uwydatnił, ale własność prywatna co do ziemi ustanowioną była zaledwie w miasteczkach. Dopiero August i następni cesarze zapewniają jej zwycięztwo, rozdając grunta gminne w posiadanie dziedziczne członkom starej arystokracyi, która rosła sobie do nich prawa i nowym urzędnikom, wprowadzonym przez najezdcę. Zauważymy w tem miejscu, iż za owych czasów prawo zwierzchnictwa politycznego zawierało w sobie, jako część nieodłączną, prawo własności, wbrew współczesnym naszym pojęciom. Jeżeli obecnie podbicie prowincyi pewnego kraju przez inne państwo nadaje jej tylko nową władzę zwierzchniczą, przyczem własność ziemska zostaje w ręku dawnych posiadaczów, to w starożytności podbity kraj przestawał należeć do zwycięzonych i stawał się zdobyczą zwycięzców. Tak postąpili germanowie w Gallii, tak samo później rzymianie. Między innemi z zabranej ziemi Rzym ustanawiał swą własność publiczną, *ager publicus*.

Wraz z własnością prywatną rzymianie wprowadzili do Galii podział terytoryalny kraju na *regiones*, *pagi* i *fundi*. Rzymski *fundus* był najmniejszą jednostką administracyjną, odpowiadającą współczesnej „commune,“ a oddawano go, jakeśmy to powyżej zaznaczyli, na własność prywatną urzędnikowi lub panu. Ten ostatni otaczał się *kolonami* i *clientami*, którym wrzczał po cząstce ziemi, pozostawiając resztę albo sobie, albo też, jako własność gminną, do wspólnego użytku wszystkich mieszkańców. Ślady tej ostatniej części pozostały dotychczas w formie posiadłości komunalnych bardzo już nielicznych. W średnich wiekach przedstawiały one olbrzymie przestrzenie t. zw. *terrae indominicatae*. Co się tyczy ziemi oddawanej na użytek prywatny kolonów lub pozostałej w ręku pańskiem, to stanowi ona początek współczesnej francuskiej własności nieruchomej. Każdy kolon był z punktu widzenia prawa rzymskiego dzierżawcą wręczonej mu cząstki ziemi, przykutym do niej. Ale zarazem wszyscy kolonowie danego majątku (fundus) rościli sobie doń prawo na zasadzie przebrzmiałego władania gminnego (dominium utile). Stąd charakter mieszany kolonata, a zarazem stały zatarg, który po przez całe wieki średnie trwał pomiędzy *dominium utile* i *dominium eminens*, tj. prawem własności ustanowionem przez rzymian na korzyść jednego pana. Zatarg ten, jak i wiele innych, rozstrzygnięty został dopiero przez wielką Rewolucyę. Wszystkie kwestye powyższe rozpatrzone zostały przez autorów w sposób gruntowny, a dla poparcia poglądów przytoczono masę faktycznego materyału.

Gruntownością odznacza się także dzieło prof. Denisa p. t. *L'impot* (Bruksella, 1890). Jest to pierwszy tom ogólnej nauki finansów, traktujący o podatkach. Towarzyszy mu atlas o 25 kartach, ilustrujący za pomocą krzywych graficznych ważniejsze zjawiska przedstawione w tekście. Autor zastosowywa swe diagramy nader pomyślnie: jest to najwymowniejsza metoda nauczania. O ile sądzić możemy z obecnej części, będzie to najlepsze dzieło o finansowości w języku francuskim; odznacza się bowiem nietylko bogactwem zebranego materyału, ale zarazem i nader sympatycznymi poglądami. Autor jest gorącym zwolennikiem reformy społecznej i w dziedzinie tej przyznaje pierwszorzędną rolę państwu, którego funkcye odejmować będą coraz szersze zakresy, szczególnie gospodarcze. Pośrednio przyczynia się ono do postępu rozwoju moralnego ludzkości, „dyscyplinując swą powagą nasze egoizmy“ (str. 19). Dopiero w oddalonej przyszłości, gdy wszystkie czynności społeczne uorganizowane zostaną w harmonii z potrzebami człowieka, ustąpi ono z widowni historycznej.

Pierwsze rozdziały książki poświęcone są pochodzeniu i teoryom podatku. Wbrew utartym teoryjkom ekonomistów i finansistów liberalnych prof. Denis słusznie twierdzi, iż dochody z posiadłości państwowych, które obecnie w Europie zachodniej coraz bardziej zanikają, z czasem zajmą w budżecie znowu pierwszorzędne miejsce. Sądzi on np., iż kopalnie zostaną upaństwowione i powierzone syndykatom wytwórczym górników. Państwo stanie się także prawdopodobnie właścicielem gruntów uprawnych, które wydzierżawiać będzie stowarzyszeniom pracujących rolników. Podatek według wolnohandlowców jest swego rodzaju *taksą*, odpowiadającą zasadzie osobistej wymiany usług pomiędzy państwem a jednostką. Trudno o płytszy pogląd. W istocie podatek jest instytucyą opartą na antagonizmie klas i na solidarności pokoleń ludzkich. Z jednej strony klasy posiadające zrzucają z siebie wszystkie ciężary społeczne na pracujące drogą stosownego opodatkowania, z drugiej — budżet państwowy, oparty głównie na produktach, jest narzędziem, przy pomocy którego każde pokolenie uszczęśliwia dla swego następcy roboty cywilizacyjne: że tylko wspomnimy oświatę, koleje, budowle publiczne itd.

W dalszym ciągu autor podaje ostrej krytyce podatki pośrednie, zbierane w cenie towarów spożywanych przez ludność: całą swą masą ciążą one na pracy, nie dotykając prawie zupełnie kapitału. Zasadom słuszności odpowiada jedynie podatek bezpośredni, padający na wszystkie dochody i postępowy. Zauważmy, iż prof. Denis jest za ustanowieniem umiarkowanej stopy tego postępu i w zależności od natury i pochodzenia dochodu: tak np. podatek ziemski powinien wzrastać ze wzrostem renty gruntowej, pewne *minimum* dochodu obliczone podług budżetu średniej rodziny robotniczej powinno być wyjęte z pod wszelkich opłat. Nareszcie autor oświadcza się za postępowem opodatkowaniem spadków. Wszystkie te reformy, zdaniem jego, do pewnego przynajmniej stopnia wyrównają obecne nierówności społeczne, zrzucając niektóre ciężary na barki bogatych.

Nareszcie powiemy jeszcze kilka słów o świeżo wydanem dziele znanego ekonomisty M. Block'a p. t. *Les progrès de la science economique depuis A. Smith*. Revision des doctrines econ. 2 tomy, Paryż 1890 (Guillaumin). Autor powiada w przedmowie, iż przygotowywał się w ciągu 50 lat do napisania tych dwu olbrzymich tomów. Jest to rzeczywisty „Handbuch,“ ułożony wszakże inaczej, niż znane dzieło Schönberga. Układ jego jest następujący. Po wstępie traktującym o metodzie, klassyfikacyi itd. znajdujemy 5 ksiąg: wiadomości zasadnicze — wytwarzanie — obieg — podział — spożycie bogactw. Każda z tych ksiąg dzieli się na rozdziały, składające się z dwu części, różniące się typograficznie. Pierwsza drukowana jest grubemi literami i tu znajdujemy wykład doktryn samego autora — są to stare, znane zasady wolnohandlowców. Druga część, odznaczająca się mniejszym drukiem, poświęcona jest wykładowi wszelkich innych teoryj i poglądów na każdą kwestyę. Nareszcie w tejże części autorowie, których wywody są rozbierane, ustawieni są w określonym porządku, podług narodowości, daty, różnicy zdań. Słowem trudno o lepszą książkę, jako podręcznik informacyjny. Ale za to autor nie przyznaje rozumie się, żadnych postępów od czasu A. Smidtha. Socyalizm rzuca staruszka w taki popłoch, iż woła tylko *Apage satanas!* Walczy zaś głównie z katederсocyalizmem.

L. W.

LECZENIE SUCHOT.

Berlińska *Nationalzeitung* rzuciła w świat radosną nowinę, że dr. Koch rozwiązał wreszcie wielkie zagadnienie leczenia suchot i wynalazł skuteczny przeciw nim środek. Wprawdzie sam on tej wiadomości ani nie podpisał, ani nie potwierdził, ale widocznie wyszła ona jako sygnałowa rakieta z jego otoczenia. Tymczasem mistrz dotychczas milczy, otoczony tajemnicą, przerwał w uniwersytecie wykłady dla doświadczeń praktycznych, ale — jak doniósł jednemu z lekarzów warszawskich — za kilka tygodni ogłosi swoje odkrycie.

Według *Nationalzeitung*, ów cudowny środek nie znajduje się w aptekach, nie może być wytworzony chemicznie, lecz otrzymuje się podobną drogą, jak limfa ospy. Po nastrzyknięciu zostaje wstrzymany w chorym organizmie rozwój bakteryj gruźliczych, które niszczeją i giną. Wtedy proces suchot ustaje, następuje wyzdrowienie przy jednoczesnem zabezpieczeniu ustroju przeciwko nowym wtargnieniom tuberkuł.

„Łatwo pojąć — mówi wspomniana gazeta — że nieczliczeni chorzy z niecierpliwością śledzą postęp poszukiwań Kocha i z upragnieniem oczekują chwili, w której jego odkrycie zostanie zużytkowanem i przywróci im drogie zdrowie. Sądzimy jednakże, iż niewłaściwem byłoby napieranie na sumiennego badacza i odciąganie go od pracy najrozmaitszemi pytaniami. Człowiekowi, któremu udało się odnieść taki tryumf ducha ludzkiego w dziedzinie medycyny, powinniśmy pozostawić wybór sposobu i czasu, jak i kiedy ma on zastosować praktycznie swój wynalazek.“

Chociaż wielkie słowo jeszcze nie padło, niemcy już je zapisują w dziejach medycyny jako najświętszy i najznakomitszy jej dogmat. W każdym razie za wcześnie, a tę samą cierpliwość, którą zalecają chorym, mogliby również okazać sami.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE

24 października.

Odnowienie pałacu ministeryum finansów. — Popularność chwilowa Dunajewskiego. — Pretensye węgrów i czechów do zbiorów muzeów wiedeńskich. — Rozprawa o Hamlecie.

Minister Dunajewski należy w tej chwili do najpopularniejszych w Wiedniu ludzi. Już zniesienie linij akcyzowych i połączenie przedmieść wiedeńskich ze stolicą zdobyło

mu sympatyę jej mieszkańców; obecnie zaś czyniąc zadość zamiłowaniu ich do sztuk pięknych, jeszcze większe uzyskał łaski. Co prawda, nie wymagało to najmniejszej z jego strony ofiary: mówimy bowiem o restauracyi pałacu Eugeniusza Sabaudzkiego, w którym obecnie mieści się ministeryum finansów. Pałac ten należy do najpopularniejszych budynków, a wiedeńczycy z żywem zajęciem śledzili postępy odnowienia dawno upragnionego. Jest to jeden z owych wielkich, pysznych gmachów, które arystokracya wiedeńska stawiała w zeszłem stuleciu przeważnie na ulicach ciasnych śródmieścia. Niepodobna też ocenić całej piękności fasad wspaniale ozdobionych. Jest to faktem tem dziwniejszym, że mistrzowie budownictwa barokowego przedewszystkiem dążyli do efektów perspektywicznych. Pałac ks. Eugeniusza jest dziełem słynnego Fischera von Erlach. D'Albert Ilg, dyrektor cesarskiego Muzeum sztuk pięknych, wydał monografię tego budynku. Wylicza on w niej artystów francuskich i włoskich, którzy ozdobili wnętrze malowidłami i rzeźbami. Eugeniusz Sabaudzki nagromadził w nim drogocenne zbiory, które dziedziczka jego, Wiktorya, roztrwoniła. W r. 1754 cesarzowa Marya Teresa nabyła pałac dla pomieszczenia w nim biur państwowych; gospodarowano w nim po barbarzyńsku, tak, że gmach ten przypominał raczej koszary, niż rezydencyę państwa, zanim Dunajewski wymógł u rządu odnowienie go. Rada państwa przeznaczyła na ten cel 100,000 złr., kwotę, z którą wypadało obchodzić się bardzo ekonomicznie, pragnąc pokryć nią koszty restauracyi. Trzeba przyznać ministrowi, że mądrze użył tych pieniędzy; z jednej strony bowiem zatrudniał artystów polskich, z drugiej zaś pomógł całemu szeregowi mniej znanych, wiedeńskich, których talent do prac restauracyjnych wystarczał. Obecnie siedziba ministeryum finansów przedstawia się wspaniale: fasada o 17 oknach, ozdobiona pilastrami jońskimi, uwieńczona została attyką, na której ustawiono 18 figur alegorycznych, wmyśl pierwotnego planu Fischera. Dziś dopiero wpadają w oko prześlicznie rzeźbione skrzydła bramy, malownicze płaskorzeźby, zdobiące parter, sztukatury na sklepieniach westybulu i piękny obraz na powale klatki schodowej, wyobrażający zgon Ikara. Mimo iż w salach reprezentacyjnych pracują jeszcze artyści, publiczność gromadzi się w pałacu i ogląda wszystko, co dla niej jest dostępnem. Tadeuszowi Rybkowskiemu polecił Dunajewski nadto wykonanie oryginalnych supraportów dla sal galowych.

Prąd decentralizacyjny, panujący obecnie w wewnętrznej polityce austryackiej, zaczyna się przejawiać na polu sztuki: chciano rozebrać zbiory wiedeńskie, przenosząc je po części do Pesztu, po części do Pragi. Najpierw wystąpił *Budapesti Hirlap* z takiem żądaniem. Obecnie *Narodni Listy* z energią właściwą młodoczechom domagają się zwrotu wszystkich przedmiotów, które przeniesiono do muzeów wiedeńskich. Pismo to twierdzi, że splondrowano bogate zbiory prazkie, zabierając nietylko obrazy, lecz przedmioty drogocenne, nagromadzone przez królów czeskich w ciągu kilku stuleci. „Dlaczegóż mielibyśmy się na to zgodzić — pisze organ młodoczechów — aby zbiory nasze zdobiły muzea miasta zupełnie dla nas obcego? Punktem ośrodkowym dla narodu naszego jest i będzie Praga." Zarząd muzeów wiedeńskich odpiera stanowczo te pretensye. Dowodzi on, że wszystko, co przeniesiono do Wiednia, należało do owych członków dynastyi habsburskiej, którzy przez czas dłuższy rezydowali w zamku prazkim, a zatem prawnie wcielonem zostało do zbiorów cesarskich. Idzie tu głównie o czasy cesarza Rudolfa II. Dawniej mniemano, że zbiory Belwederu wiedeńskiego powstały głównie z obrazów „cudownej Kamery" na Hradczynie; lecz Engerth, dyrektor galeryi w Belwederze, wykazuje, że Hradczyn splondrowali wprzódy szwedzi i bawarzy, tak iż Belwederowi dostało się zaledwie parę obrazów cennych: Correggia, Dürera i Parmigianina. Lecz zarówno te płótna, jak przedmioty zawarte w skarbcu cesarskim, były własnością prywatną Rudolfa II.

Pomijamy szczegóły. Jest to sprawa, która wobec wzrastającego wpływu młodoczechów może niebawem nabrać wagi, a zwycięztwo ich nie koniecznie miłem by było dla kół politycznie im sprzyjających. Skoro raz orzekną: *finis Austriae*, wówczas będzie chwila stosowna do rozebrania zbiorów stolicy, i być może, że kiedyś wielka fala ludzi podróżujących po Europie dla studyów i dla przyjemności, popłynie ku Pradze i ku Pesztowi, tak jak dziś dąży ku Wiedniowi. Lecz póki związek polityczny z Austryą trwa, niechże przynajmniej dla sztuki będzie ośrodek, w którym synowie wszystkich plemion tej monarchii korzystać mogą ze zbiorów nagromadzonych przez wszystkie.

Pojawiła się w Wiedniu książka galicyanina, zdradzająca niepospolity talent literacki. Autor jej, ukończywszy studya w Galicyi, przeniósł się do Wiednia, gdzie niebawem wybitne w dziennikarstwie zajął miejsce. Czas wolny od zajęć zwykłych poświęcał poważnym studyom literackim, a owocem ich jest — nowy komentarz do Hamleta *). Widzę uśmiech ironiczny na ustach czytelników *Prawdy*, którym jej Poseł przy sposobności występu Kotarbińskiego w roli Hamleta dosadnie objaśnił naturę takich komentarzy. Lecz i Gelber, autor „Zagadnień Shakespearowskich" wyraża głębokie przekonanie, że Hamlet jest utworem zupełnie zrozumiałym, a książka jego ma na celu starganie grubej sieci spaczonych poglądów, którą krytyka niemiecka oprzędła arcydzieło Shakespeare'a. Rozpatrując się w olbrzymiej o Hamlecie literaturze, istotnie przyznać trzeba, że niemcy są narodem myślicieli: ale o czem ten naród myśli, i jak myśli, o tem chyba nie często sam wie. W setnych postaciach Hamlet pojawi się w krytyce niemieckiej. Goethe wyznał skromnie, iż nie udało mu się go objaśnić. Lecz za to Tieck, Schlegel, Kreissig, Gervinus, Flathe, Reichel, Werder i legion cały innych krytyków rościli pretensyę do tego, iż wyświecili całkowicie charakter królewicza duńskiego. Według jednych zwleka on zemstę dla braku silnej woli, według drugich—z chytrości, inni czynią go sofistą o przewrotnych pojęciach moralnych; są i tacy, którzy wszystko tłomaczą jego otyłością, a nie brak i takich, co uważają go za przebraną kobietę. Odkąd na widnokręgu literackim pojawiła się kwestya autorstwa dramatów Shakespearowskich, część krytyków twierdzić zaczęła, że zagadki i sprzeczności zawarte w Hamlecie wogóle rozwiązać się nie dają, gdyż jest to utwór sklejony z dwóch dramatów i nędznie przerobiony przez Bakona.

Rozbiór Gelbera wykazuje bezpodstawność wszystkich tych twierdzeń. Nie zapuszcza się on wcale w krytykę historyczną, rozpatruje tylko utwór sam w sobie i wykazuje, że dla czytelnika nieuprzedzonego Hamlet jest charakterem jednolitym, jasnym i zrozumiałym. Postępowanie jego wypływa z akcyi dramatycznej, na którą krytyka niemiecka wcale się nie oglądała. Hamlet nie ma dowodu, że stryj zamordował jego ojca, prócz słów ducha, którym, jako człowiek racyonalnie myślący, boi się dowierzać. Aż do końca trzeciego aktu działać nie może, gdyż jako człowiek sumienny wyczekuje dowodu. Dowodem tym jest dlań zachowanie się Klaudyusza podczas przedstawienia. W czwartym akcie nadchodzi jedyna chwila, w której Hamlet mógłby działać: idąc do gmachu królowej, napotyka Klaudyusza. Lecz ten pogrążony jest w modłach głębokich, a w duszy królewicza zwycięża moc przesądu odziedziczonego — nie chciałby zabić mordercy w chwili skruchy. Następnie zaś wysyłają go z Danii, tak iż dopiero po powrocie, w ostatniej scenie, spełnić może zemstę. Hamlet nie jest człowiekiem słabym: owszem, jest to młodzieniec energiczny, odważny, hamujący atoli namiętną żądzę czynu rozwagą moralną. To nie sofista, lecz filozof sumienne rozważający. Przykazania moralne czerpie z rozumu czystego, a jedyna chwila, w której ulega zabobonowi, staje się dlań zgubą. Ostatecznie Gelber dochodzi do poglądu, że Hamlet jest utworem nawskroś naturalistycznym i że wiernie odbija czas, w którym powstał, a w którym oświata nowoczesna z zabobonów średniowiecznych wyłaniać się zaczęła. Rozprawę Gelbera poprzedził wstępem zajmującym słynny aktor Burgtheatru, Lewiński; podnosi on w niej jako główną zaletę, że autor nie narzuca zgóry swego poglądu, lecz skromnie i uważnie idzie za wskazówkami danemi przez poetę. Taką jest też metoda zgłębiania ról, używana przez wszystkich aktorów wielkich, i dla tego Lewiński rozprawę Gelbera poleca głównie aktorom. Wartość zaś literacka czyni ją zajmującą dla kół najszerszych.

Stwosz.

*) Adolf Gelber: *Shakespearsche Probleme.* Plan und Einheit im Hamlet. Wiedeń, Konegen, 1891.

ŚRÓD MUZ.

VIII.

W Salonie Krywulta.

Kiedym wyczytał w dziennikach, że przybył do nas wielkich rozmiarów obraz, przedstawiający „Sprawę Clemenceau," dreszcz mię przeszedł od stóp do głów. Brrr! — pomyślałem; znowu krew, sztylety, wykrzywiona przedśmiertną konwulsyą twarz, wściekłością oszpecone rysy mordercy, szamotanie się, rozdarte suknie, przewrócone krzesła i zamarły na ustach ofiary krzyk rozpaczy i bólu... a w całym pokoju ów czerwony, szkarłatny opar zbrodni, nie tragicznej zbrodni Makbeta, lecz małuczkiego morderstwa samca. Zdało mi się, że zobaczę może zbiegowisko trutniów ulicznych albo i mundur prefekta policyi i rzeklem w duchu do muz: dawajcie na scenie wszelkie potworności, byleby mogły one wstrząsnąć moralnie widzem, nie rozbestwiając go, byleby wzdrygał się wobec nich wrażeniem ohydy albo smutnie potrząsał głową, pognębiony przedsmakiem fatalności; ale czego chcecie od płótna, na którem mord, choćby pod pędzlem którego z archaniołów, zawsze tylko gołym mordem będzie, chwilą rozzwierzęcenia? Na obrazie, zwłaszcza tak zwanym realistycznym, nic nie znaczy podpis „Sprawa Clemenceau," czy „Sprawa Cassagnac"; uszlachetnić na nim rzezi żadne tytuły nie potrafią, bo nikt nie jest obowiązany znać powieściową treść, z której motyw został poczerpnięty, a bez owej intrygi, dla człowieka, co jej nie widział ani na deskach teatralnych, ani nie wyczytał w romansie Dumasa, idea etyczna tej zbrodni nie istnieje: zostaje gruby, brutalny skandal i nic więcej.

Zaś z drugiej strony obraz z komentarzem, to coś w rodzaju ładnej mapy, która objaśnia, ilustruje prozę geograficzną i sprawia pewną przyjemność temu, co się już na niej oryentuje dobrze, ale niemającemu podręcznika podoba się co najwyżej pstrocizną ładnych kolorów. Wszelkie malowidła, do których bezpośrednie natchnienie i pomysł wzięte zostały z jakiegoś tekstu czytanego, są więc naprzód pozbawione wyrazistości powszechnej, bez której niema rozkoszy estetycznej, a powtóre rażą przykrą mieszaniną niesmacznych bardzo czyn-

ników, jako to: braku wynalazczości i pogoni za tem co modne. Wolę nieprzetrawionego jeszcze „Hamleta“ Czachórskiego stokroć więcej, niż najgenialniejszą bodaj „Nanę“ Suchorowskiego... Malarze lubią okłamywać siebie samych; zapominają, że prawdziwie dobry smak, szczera wytworność, wolą raczej wyprzedzić upodobania tłumu lub zrazić je pozornem cudactwem, niż dotwarzać malowany wtór do tego, co obleciało modny świat czytelników, jako nowina dnia. Dziwi mię, że dotąd jeszcze nie ma na wystawach naszych „Śmierci Kaśki Karyatydy“ albo „Ściągania dorożkarza arkanem z kozła“ w duchu odnośnej sceny „Nowych tajemnic Warszawy.“

Na szczęście chodzi w tem miejscu o dzieło nie swojskie, lecz cudzoziemca Rexa. Powiedziałem tedy, że dla zobaczenia go szedłem do salonu Krywulta, jak na operacyę wyrwania zęba. Podbiegam, staję — co za miła niespodzianka! W zbytkownie urządzonej sypialni, na szerokiem łożu małżeńskiem, leży, z fantazyą nogę na nogę założywszy, kobieta. W mgnieniu oka zapominam o zapowiedzianej treści obrazu i podziwiam wdzięczne granatowe pończochy, podtrzymywane ładnemi podwiązkami. Co za śliczna, świeża, różowa cera niedyskretnie odsłoniętego kawałka nogi; a ręka! z jaką swobodą rzucona w bok na jasiek w cienkiej misternie koronkowej poszewce. Tak pewnie wyglądała urocza i wonna Ninetka z *Kartek* Estei. Wolno prowadzę swój przegląd w kierunku głowy, lecz wcześniej jeszcze dostrzegam, o zgrozo! grubą rękojeść puginału, sterczącego w piersiach blizko serca. A prawda, toć to „Sprawa Clemenceau!“ W tym momencie obrazu czuję naprawdę bezwład trupa, ciężko wtulającego się w pościel. Lecz głowa? Spokojna, w rzeczy samej; życie z niej uciekło, to prawda, ależ to głowa raczej kamiennego posągu, co tarza się w piasku przy zwaliskach pałacu, niż głowa kobiety pięknej, zalotnej i zdradzieckiej. Profil jej ogromny, twardy i tchnie nie tyle martwotą ciała odartego z duszy, ile zielonawą surowością zmurszałego głazu.

Ciekawie pojęta śmierć i tragedya! Ani śladu walki, żadnego skurczu, nie sztywności. Kokieteryjna, lubieżna Safo z maską Karyatydy i... sztyletem między żebrami. Wiem, że są kobiety, do których zalotność przyrosła jak jakiś niewidzialny naskórek, ale trudno mi wierzyć, ażeby mogły one zachować ją nawet pod dłonią oprawcy. Jeżeli Rex nie jest francuzem, tedy jest na pewno zfrancuziałym w sensie dekadentyzmu; bo tylko pod wpływem owej tak zwanej *perversité*, zboczeń czucia płciowego, o których pisze Krafft-Ebing (ulubieniec naszych panien), mógł się zrodzić obraz, który sili się wyraźnie na to, żeby widza połechtać zmysłowo, zamiast przejąć go chłodem. Artysta rzetelny takimi efektami i przynętami brzydzi się, nie dla skromności, której trudno być gorącym wielbicielem w sztuce jędrnej i silnej, lecz by nie zostać pomówionym o żyłkę handlarską i nieudolność. Bo czemże innem jest nieumiejętność rozlania paraliżu śmierci na całą postać i wywołania pełnego, jednolitego nastroju?

Jedynym szczegółem, świadczącym o zamęcie zbrodni, jest... kołdra atłasowa, do połowy zsunięta na ziemię. Nawiasem mówiąc, ma ona w miejscach jaśniejszych tyle połysku, co — zwyczajna wełna i zapewnić mogę czytelnika, że nie trudno o atłas lepiej malowany... zresztą wszystko inne dokoła tchnie równowagą i spokojem. Otwarty balkon daje widok na ładną wielkomiejską ulicę, sprzęty stoją jak dnia wczorajszego. Wszystko robi wrażenie, jak gdyby mąż-zabójca pozwolił sobie najzwyczajniej w świecie do biura, a żonusia-pieszczocha śpi — ze sztyletem między żebrami. Ten kontrast byłby może ładnym, gdyby nie grzeszył kłamstwem.

Robotę znać prawie wszędzie wprawną. Doskonałe np. są rolety na oknach ze swem światłem, pysznemi — fałdy materyi nad wezgłowiem: barwy rozłożone są prosto i umiejętnie: na prawo majolikowa niebieska lampa z czerwonym abażurem, dalej wazon z palmą wachlarzową, nieco za sztywną i twardą, potem blado-niebieski muślin zwieszony na krześle itd. Nie wyczuwa się grzechu kolorystycznego, ale za to trochę niemile uderzają jednakowe, jakby odmierzone odstępy między tylko co opisanymi przedmiotami. Długość sypialni rozpada się przez to na zbyt równomierne działy. Tak bywa w rzeczywistości bardzo często, ale gust więcej wydoskonalony nie znosi podobnej symetryi i geometrycznego niemal układu.

Zbytnio jednak przyglądać się „Sprawie“ nie ma celu; oddzielona baryerką i ustawiona w sposób prawie dioramiczny, nie pozwala patrzeć na siebie zblizka. Kierownikom salonu chodzi jedynie o to, by duży był efekt, by wzmogła się wypukłość figur i wypięknił koloryt pod wpływem światła jednoźródłowego, a co tam powiedzą ciekawi techniki — mniejsza. Publiczność nasza traktowana jest jak ludek jarmarczny, któremu pokazuje się widoki Konstantynopola w dziurach katarynki.

W niektórych wszakże wypadkach na sposobik ten gniewać się niepodobna. Bo na tem, że krajobrazy quasi-impresyonistyczne panów Podkowińskiego i Pankiewicza usunięto w głąb, wszyscy zyskujemy. Zblizka łatwo możnaby oślepnąć, no, a zdaleka widzi się bądźcobądź parę wielkich słojów z różnobarwnym makiem cukierniczym. Co do większości tych płócien dziwnego nabożeństwa, to daremnie by kto mozolił się nad zrozumieniem ich. Nie mogę się i ja większem powodzeniem w tej mierze pochwalić. Widziałem jeno grubo kładzione plamy żółte, ultramarynowe, szkarłatne, fioletowe, kanarkowe, gipsowo-zielone, pomieszane w jeden bezładny chaos; chwilami doznaje się złudzenia, że to leżą obok siebie kupy pomalowanego wapna; jeden zaś pejzaż, ten, co wisi zupełnie na lewo, dziejki wysokim na pół cala grudkom farby olejnej, dziwnie przypomina owe mapy orograficzne, na których pasma gór lepione są z papki i wystają tak, żeby mogły dać pojęcie o względnej wysokości każdego ze szczytów.

Nie podobna brać tych obrazów „przyszłości“ tak bardzo do serca i wywodzić nad niemi Jeremiaszowych żalów. Po co tu płacze i deklamacya? kiedy rzecz jasna, że mamy przed sobą ciekawy wypadek chorobliwy, a mianowicie autohypnozę, która silnie owładnąwszy autorami, każe im widzieć wszystko w świetle takiem, jakie ludziom normalnym ukazuje się na moment tylko i to wtedy, gdy ich kto znienacka porządnie grzmotnie kułakiem w plecy, wówczas to pewnie widzi się podobne świeczki.

Mnie osobiście — jeżeli to cię czytelniku obchodzi — najnowszy występ naszych impresyonistów wielce ucieszył, tak jak po trzydniowym kapuśniaczku ów chwilowy rzęsisty deszcz, po którym niebo zaczyna się rozjaśniać. Nie wątpię, że doszedłszy do ostatnich granic absurdu, pp. Podkowiński i Pankiewicz zatrąbią do odwrotu i że rychło ze swego obłędu wyleczą się, czego im, jako ludziom zdolnym z duszy życzę. Za złe też powinniśmy mieć Towarzystwu Zachęty, że obrazów tych nie przyjęło; przebieg krytyczny trwałby krócej. Kaskada śmiechu co chwila wybuchająca zmroziłaby pewnie dosyć rychło zapał nowatorów. Nawet bym radził kupić je wprost: bo jestem przekonany, że gdyby z nich zrobić np. lampiony i wstawić wewnątrz światło, to efekt, wieczorem, w ogrodzie byłby cudowny, czarodziejski.

Dziwne doprawdy te manie artystów! Taka np. błahostka Żmurki. Gdzie tu sens jaki? Niełądna, jak wszystkie tego malarza postacie niewieście — kobieta odchyla naszyjnik i rąbek koszuli ażeby widzieć swą pierś w lusterku. Negliżowa fanfaronada stroju, niesympatyczne rysy damy z półświatka trącą jakąś parodyą brawurowych motywów niemca Piglheina, a jednak sama pierś jest malowana pysznie, miękko a nie porcelanowo, tchnie delikatnością bladej róży, której listki mają swą matową jędrność i bujność dojrzałą. To nowy dowód, że p. Żmurko zaprzedał świeżą, szeroką technikę szpetnym i głupim gustom wesołych buduarów...

Salon Krywulta w chwili obecnej poszczycić się może znaczną rozmaitością; nie brak w nim tematów religijnych, historycznych a nawet i mitologicznych. Prof. Gersona „Widmo Barbary“ mogłoby posłużyć za wzór do żywego obrazu jak zresztą i inne tego pędzla płótna. Ta cecha tak już wybitnie występuje u niego ostatnimi czasy, że zmusza do uwierzenia, iż artysta faktycznie układa wpierw grupy w swej pracowni, z manekinów, a potem rysuje kontury. Tego samego pokroju jest rozdeklamowana i nawskroś sceniczna „Droga na Golgotę“ Unierzyckiego, dziś już także profesora: poprawna robota i absolutnie nic więcej ponad zwykły szablon akademicki z klasy kompozycyi.

P. Daniszewski porwał się na Prometeusza i Andromedę z pędzlem twardym i naiwnością układu, która walczy o lepsze z brakiem ekspresyi oraz słabem poczuciem koloru, którego za wiele w obłokach, a już nazbyt mało w ludziach i na ziemi. Po co marnować tyle pracy, w tym razie widocznej, na wygórowane zadania, skoro trzymając się gruntu bardziej malarskiego, można nawet mniejszym kosztem osiągnąć więcej? Dla zatarcia niesmaku proszę rzucić okiem na parę krajobrazów Piotrowskiego, z których jeden zwłaszcza „We mgle,“ posiada większą wartość, albo na „Dojeżdżacza“ p. Rosena. Dziwna rzecz, jak tylko autor „Parady na Saskim placu“ porzucił na moment swoje armaty, lawety, szare płaszcze i kaszkiety — i kolorom jego ubyło ciężaru, a przybyło wdzięku. Ten oto jeździec z pysznie wypracowaną sforą psów, stojący w wyrębie lasu niedaleko pięknej polany, za którą widać znów płot zwierzyńca, posiada tyle powabu, jak gdyby p. Rosen przeniósł się nagle do lekkiej kawaleryi malarstwa.

Pomiędzy drobiazgami innymi, zdobiącymi pobliże okien, zwracają uwagę dwa obrazki z podpisem Władek. Musi to być majster wytrawny i daleki od nowicyatu, bo na jednym z nich brzeg stawu posiada dziwną miękość i soczystość zieleni, a na drugim scena w stylu Dyrektoryatu, zastanawia śmiałą wyrazistością i przyjemnym akcentem charakterystycznym. Są to tylko „miscellanea“ artysty, ale zdaleka czuć w nich dobrą, wytrawną szkołę; bodaj czy to nie który z monachijczyków. Z nad Izary też pochodzi utwór p. Tetmajera, obliczony jak niektóre z dawniejszych, na efekt światła latarni, który też tutaj na tle nocy zimowej powtarza się kilkakrotnie, w różnych odmianach i robi złudzenie prawdziwego.

A teraz wybacz mi, czytelniku, słówko *pro domo mea*.

Na wiosnę r. b. wystąpiłem w jednym z dzienników z projektem wystawy dzieł znakomitszych malarzy obcych, a następnie i swojskich, na tej zasadzie, iż magnaterya nasza, jakem miał sposobność przekonać się, posiada dosyć dużo holendrów, włochów i hiszpanów, jakkolwiek nie są to same arcydzieła: W tych dniach znowu okazało się, że ktoś z warszawiaków jest szczęśliwym właścicielem oryginalnego Tycyana i prawie jednocześnie wyczytałem wiadomość, że „z inicyatywy pewnej damy filantropki krząta się pewne grono koło urządzenia wystawy arcydzieł.“ Wprawdzie projekt mój podobał się bardzo inteligencyi; a nawet pisarze ustalonego rozgłosu, jak pp. Maryan Gawalewicz i Czesław Jankowski, wcale nie proszeni o to, przyrze-

kali, że podniosą go w swoich fejletonach (p. Jankowski nawet w osobnym artykule), nie przeszkodziło to jednak w okresie ostatecznego dojrzenia rzuconej przeze mnie myśli uczynić mię „damą“ „filantropką Z.“ itd. Niewymownie żałuję, że nie jestem ani jedną, ani drugą, bo by mię to uwolniło od takiej np. niespodzianki, że *Kuryer codz.* wydrukował pierwszą połowę mego artykułu o wystawie w kwietniu czy marcu, a drugą... w sierpniu, ale będę szczerze wdzięczny temu z łaskawych czytelników, który w liście na imię moje pod adresem szan. *Prawdy*, zechce odpowiedzieć mi na pytanie:

Gdzie i pod jaką mniej więcej datą wyczytał o zaprojektowaniu wystawy arcydzieł przez filantropkę Z.?

W redakcyach pism codziennych nie spodziewam się dowiedzieć prawdy, a przecież to rzecz ciekawa, jak u nas pomija się dyskretnem milczeniem wszystkich, co nie należą do kliki wzajemnej adoracyi... Nie dotykałbym tego faktu błahego, gdyby nie był jednym z wielu, o których kiedyś muszę czytelnikom opowiedzieć...

Cezary Jelenta.

TEATR.

Filip de Massé. *Manewry*, komedya w 1-ym akcie. — Meilhac i Halevy. *Lolota*: komedya w 1-ym akcie. — *Łapka na myszy*, komedya w 1-ym akcie (z francuskiego). — Zyg. Przybylski. *Grajek*, obrazek sceniczny w 1-ym akcie.

Dwudziestopięcioletnią pracę zasłużonego artysty, Józefa Grzywińskiego, koleżanki i koledzy uczcili obchodem jubileuszowym. Jak zwykle u nas, najważniejszą część uroczystości stanowiły... kieliszki i talerze. Podobno na upominek zbierano składki w rozmiarach odpowiednich do pensyi każdego pracownika sceny; prawem zaś udziału w sutej kolacyi była suma dla wszystkich jednakowa, stanowiąca znaczną różnicę w budżecie skromnie uposażonych. Niewielu wszakże uchyliło się od hołdu w tej formie... Znacznie wyższym dowodem uznania było poranne widowisko (1-go listopada) na rzecz jubilata, na które między innemi złożyły się dwie nowości: „Lolota“ i „Łapka na myszy.“ Pierwsza jest dziełem spółki: „Meilhac i Halevy,“ obliczonem tylko na rozśmieszenie publiczności, ale francuskiej. Baronowa (panna Barszczewska), chcąc się przygotować do gry amatorskiej, sprowadza artystkę Lolotę (p. Lüde) dla zdobycia niezbędnych wskazówek. Obecnym jest p. Croisillo (p. Tatarkiewicz), młody człowiek, platoniczny kochanek baronowej. Innego rodzaju stosunek z artystką stanowi całą intrygę sztuki. Młody człowiek bardzo jest zakłopotany obawą, ażeby dama salonowa nie dowiedziała się całej prawdy, która jednakże wypływa na jaw po skończonej lekcyi. Lolota, podpatrzywszy czułą scenę swego kochanka z baronową, wpada pomiędzy nich z furyą, na to nadchodzi głupawy baron (p. Frenkiel). Zdawałoby się, że będzie nowa jeszcze większa burza, ale zapobiega jej niespodziany zwrot artystki, tłómaczącej gospodarzowi, iż to było odegranie pewnej sceny z jej repertuaru. Na tem się kończy rzecz cała. W „Manewrach“ jest także baronowa (p. Noiret), ale znacznie się różniąca od poprzedniej. Sentymentalna, oddaje się rozpamiętywaniu o młodym bohaterze, ciężko ranionym na placu boju. Widziała go raz tylko w życiu, opiekując się nim w szpitalu (po owdowieniu), jako siostra miłosierdzia. Po latach kilku ukochany się zjawia, następuje czułe poznanie, a potem przykra scena z generałem, gromiącym podwładnego za czynność zaniedbaną na manewrach. Na szczęście dowódca jest idealnie dobry; nie tylko wykonywa obowiązki za swego podwładnego, ale jeszcze przebacza mu winy. „Łapka na myszy“ to farsa niższego gatunku, w której panna Czaki i p. Prażmowski usiłowali skręcić bicz z piasku. Mysz doprowadzająca młodą wdowę do omdlenia, przestrasza także adwokata i w końcu staje się przyczyną ich związku dozgonnego. Wszystkie te trzy błahostki prawdopodobnie były grywane na podrzędnych scenach paryskich dla lekkiego *plebsu*. U nas wprowadzono je w formie okrasy i z widocznym zamiarem utrwalenia w repertuarze teatru Rozmaitości. Jeśli „Lolota“ będzie miała dłuższe powodzenie, to chyba przyczyni się do tego wyborna gra p. Lüde w roli tytułowej. „Manewrów“ może nie podtrzyma nawet gładka postać p. Nowickiego.

Na większą uwagę zasługuje „Grajek“ p. Przybylskiego. Po niefortunnych a wiele z reklam obiecujących „Złotych górach,“ autor stworzył miły obrazek, nawskróś liryzmem przesycony. Są w nim tylko trzy postacie, wszystkie sympatyczne. Dwoje staruszków, Bonicki, wdowiec i Maryanna gospodyni, pod jednym dachem życie całe spędzili, wiecznie się sprzeczając o kolor włosów Edwarda, jedynaka nieżyjącego. To był jedyny rozdźwięk w ich stosunku więcej niż zażyłym. Po wzajemnych przymówkach i narzekaniach Maryanny, że na stare lata będzie musiała iść pod kościół, następowała serdeczna zgoda. Raz podczas nieobecności staruszki wszedł do izby obdarty, brudny chłopak ze skrzypcami. Kaszlący, wątły, o rysach szlachetnych, drżący z zimna, wygłodzony, budzi litość w dobrem sercu pana Bonickiego, która się spotęgowała, gdy starzec upatrzył w rysach sieroty podobieństwo do swego syna i dowiedział się, że to samo imię nosi. Roztkliwiony postanowił przybłędę przygarnąć. Nie długo jednak cieszy się nowem szczęściem; malec wycieńczony suchotami umiera na rękach Bonickiego, przebrany w szaty pamiątkowe jego syna. Na tę chwilę nadchodzi Maryanna i zrazu jest pewna, że to się zjawił duch ukochanego Edzia. Obrazek kończy się modlitwą wzruszonych staruszków nad zwłokami sieroty. Nagłe obudzenie się przywiązania w starcu, żyjącym tylko przeszłością, do pacholęcia, które oprócz miłego przypomnienia byłoby osłodą i podporą resztek jego życia, jest całkiem naturalnym objawem psychicznym. Nie zupełnie za to zgadza się z prawdą postać małego grajka. Autor, chcąc go zrobić sympatycznym, zanadto wyidealizował. Chłopak, pozbawiony wszelkiej opieki, niepamiętający swych rodziców, jest szlachetnym, a nawet wzniosłym, pomimo że jedynym jego przytułkiem jest szynk, a towarzyszem motłoch wiecznie pijany, któremu przygrywa na skrzypcach. Obity przez gospodarza i wyrzucony za to, że sił do grania nie stało, zwierza się przed Bonickim, że szynk przez zemstę podpali. To jest jedyny, przemijający wszakże w jednej chwili objaw uniesienia — skutek obcowania z ludźmi o wiecznie podnieconych namiętnościach. Zresztą idealnie to czysta postać, pomimo że się całe życie tarzała w brudzie i group. Panna Zimajerówna odegrała ją bardzo dobrze, z zachowaniem wszystkich odruchów, charakterystycznych u ludzi trawionych chorobą niszczącą. Jeden tylko zarzut zrobić muszę: artystka dopomogła autorowi w spotęgowaniu jeszcze silniejszem barw idealnych. Postacie staruszków odtworzyli świetnie p. Ładnowski i pani Borkowska.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Spowiedź p. Górskiego. — Europa w jego szkole. — Pedagog idealista. — Sprzedaż biletów na występ Skulińskiej. — Ciekawość powszechna. — Potworne obrazy życia. — Narada lekarzów w sprawie wynajmu mamek. — Korzyści ze szkody. — Chwalebny przebieg sporu o wody gazowe. — Więc trujemy się. — Niespodziewane marzenie radców. — Kieszeń i honor.

W kilku numerach *Kuryera warszawskiego* p. W. Górski, przełożony sześcioklasowej szkoły realnej, zbijał szczegółowym rachunkiem zarzut, oskarżający go o wyzysk zapomocą podniesionej do rs. 100 opłaty. Publiczna ta spowiedź, odsłaniająca najskrytsze tajniki jego zabiegów i kłopotów, wydarta zasłużonemu i prawemu przewodnikowi z serca, w którem spoczywała raczej jako cierpienie, niż rozkosz, była nawet dla nieświadomych rzeczy jej świadków przykrą, a dla opinii naszej charakterystyczną. Bo nie pociągamy przecie do odpowiedzialności moralnej i nie stawiamy pod pręgierzem ani fabrykantów, ani posiadaczów ziemskich, ani wydawców, ani kupców za to, że zbogacili się. Czemuż więc zaglądamy do kieszeni pedagogowi? Ktoś zajrzał i dostrzegł w niej nieprawe zarobki, komuś znowu p. Górski ją otworzył i przekonał, że jest pustą... Rzeczywiście jest pustą, a jedynie dlatego, że przełożony szkoły wprzód niż o własnych korzyściach, myślał i myśli o jej doskonaleniu. Niedawno sprawdziłem to naocznie i z pewnem zdumieniem. Jakkolwiek bowiem znane mi było dobre imię tego zakładu, nie sądziłem, że on stoi tak wysoko. Stanowczo niewiele jest u nas instytucyj, któreby w równej mierze przedstawiały nam Europę, jak szkoła Górskiego. Można ją przenieść w najoświeceńsze społeczeństwo i być pewnym, że nie straci na porównaniu z miejscowemi, które wytworzyła wielka kultura, a nie energia jednego człowieka. My, którzy kształciliśmy się przed ćwierć lub półwiekiem w salach nizkich, ciasnych, dusznych, na ławkach wązkich, śród warunków, którym zaledwie może jedynie wytrzymałość dziecka, ze zdumieniem patrzymy na te sale widne i doskonale przewietrzone, na te ławki wygodne, na wszystkie urządzenia, z drobiazgową przezornością odpowiadające potrzebom młodego wieku. Można przy pomocy rozumu, środków i dobrej woli stworzyć umiejętnie i zbytkownie taki zakład w zarysach ogólnych; ale bez doświadczenia i pomysłowej specyalności, bez — że tak powiem — wyobraźni pedagogicznej niepodobna wypełnić go tyloma szczegółami, ile ich zawiera szkoła Górskiego. Sama logika nie powie nam, jakie powinny być okna, rolety, wentylatory, umywalnie, łóżka, materace itd., tu radzić musi osobna zdolność. Zwłaszcza pensyonat, który służy nietylko do nauki, ale w którym odbywa się całe życie młodzieży, jest urządzony z pedantycznem uwzględnieniem jej zdrowia i pożądanego kierunku obyczajów. Wygoda łączy się w nim z przezornością. Każdy bowiem chłopiec pozostaje ciągle na widoku, nie usuwa się z pod dozoru, nie zapada ani na chwilę w samotniczy mrok, w którym by złe jego skłonności rozwijać się mogły. Życie jego jest przejrzyste, oświetlone, nie ma zaułków i półcieniów. Za pomocą jakich środków osiąga się ten rezultat, nie mogę szczegółowo opisywać; przykładem dam czytelnikowi pojęcie o tej roztropności, która przenika całą organizacyę zakładu. W sypialni pensyonatu obuwie chłopców nie jest pozostawiane na noc, lecz odnoszone do osobnego pomieszczenia. Zdawałoby się, że para butów przy łóżku nie ma żadnego wpływu na powietrze obszernej sali. Tymczasem wszedłszy do pokoiku, w którym one są zebrane na małej przestrzeni, uczuwamy bardzo przykry wyziew, chociaż przecie te kamasze nie nurzają się w błocie i nieczystościach, lecz przesuwają się po kamieniach ulic i posadzkach.

Jeżeli sam plac do gier i ćwiczeń gimnastycznych kosztuje kilkanaście tysięcy rubli (a w procentach od pożyczonego kapitału około 1,200 rs. rocznie), to rzeczywiście

szkoła Górskiego, niewychowująca dzieci bogaczów, jest dla naszego społeczeństwa za drogą. Przyznaje to sam jej przewodnik. Ale obraca się ona w błędnem kole, zakreślonem przez prywatny jej charakter. Taka, jaka jest, musi być kosztowna, albo nie będzie taką. Zachodzi tedy pytanie, co wybrać: czy wartość, czy oszczędność. Nad tą kwestyą może rozmyślać ogół, ale niepodobna jej rozwiązania na korzyść taniości narzucić człowiekowi, który ucieleśnia swój ideał. P. Górski nietylko nie jest spekulantem, ale jest marzycielem, zakochanym w swoich rojeniach o wzorowem wychowaniu i wykształceniu młodzieży. Co gdzieindziej zrodziło się jako owoc wysokiej kultury i wielkich nakładów publicznych, to on chce osiągnąć wytężoną energią jednostkową. Nie dawajmy mu więc rad, które są właściwe tylko dla ludzi improwizujących swój rozum, bo on z nich ani nie skorzysta, ani skorzystać nie może; natomiast popierajmy jego szlachetne wysiłki tem bardziej, że one społeczeństwu dają dobro. Jeżeli ta szkoła dla nas za droga, pocieszmy się myślą, że więcej nas kosztują magazyny, restauracye, cyrki, wyścigi. Niewątpliwie, ciężko biednemu ojcu zapłacić za syna 100 rs. rocznie, zwłaszcza gdy sobie przypomni, że za niego płacono niedawno 10 rs.; ale ta ofiara dla dzieci jest przynajmniej wkładem na rachunek ich przyszłości.

A gdyby kto mógł obliczyć, co nas kosztuje Skublińska, przekonalibyśmy się może, iż 100 rs. za roczną naukę syna nie jest zbyt wiele. Szczęśliwi bowiem posiadacze biletów na widowisko procesu sprzedawali je na ulicy—jak zapewnia *Kuryer warsz.*— po 25 rs. Mniej to, niż na występ Mierzwińskiego, ale w każdym razie cena tak poważna, że siedząca na ławie podsądnych karykaturalna miniatura Dzieciątka Jezus nie spodziewała się nigdy być przedmiotem równie kosztownej ciekawości. Prawnicy utrzymują, że po rozjaśnieniu wielu stron sprawy wyrok wypadnie łagodniejszy, niż pierwotnie mniemano. Byłby to bolesny zawód dla rozłakomionych do zbrodni w wielkim stylu widzów, a zwłaszcza dla tych, którzy za przyjemność oglądania bohaterki drogo zapłacili. Bo czyż warto tłoczyć się, dusić, łamać sobie żebra i wydawać pieniądze, jeżeli sztuka skończy się kilkoma laty więzienia lub rot aresztanckich! Niejeden, a nadewszystko niejedna wykrzyknie w rozczarowaniu: nie warto było 5 rs.! Ta dzika żądza napawania się widokiem zbrodniarzów nie jest tylko nam właściwą; objawia się ona bowiem we wszystkich społeczeństwach, w najbardziej ucywilizowanych i uobyczajonych. Za Aristidesem ledwie się ktoś na ulicy obejrzy, za Traupmanem lecieć będą tłumy. Wielotysięczna masa otacza w Paryżu plac kaźni przez noc całą podczas tracenia skazanych; do więzień zakradają się reporterzy, ażeby wynieść dla czytelników garść nowin z przedednia śmierci mordercy; pisma ilustrowane przedstawiają ważniejsze chwile egzekucyi, a obecna przy odcięciu głowy rzesza rzuca się na gilotynę, jak gdyby chciała nawąchać się lub nalizać świeżej krwi. Tak jest wszędzie, pomimo napomnień, odradzań, szyderstw i gromów. Więc widocznie ten pociąg do obrazów tropionej, chwytanej, sądzonej i karanej zbrodni tkwi głęboko w naturze człowieka i oparł się wpływom tysiąców lat cywilizacyi. Nie wykorzeni go doraźny morał, skoro nie zdołał go zniszczyć tak długi rozwój obyczajowy. Trzeba złożyć broń przed tą potęgą i tylko dla określenia jej siły oraz rodowodu można, a nawet trzeba śledzić wstecznem badaniem w dziejach, od jak dawna przechowuje się ona w życiu ludzkości.

Z drugiej jednakże strony należy przyznać, że sprawa Skublińskiej jest bardzo pouczającą zarówno dla zarządców społeczeństwa, jak i dla jego badaczów. Otwiera bowiem szparę, przez którą widzieć można zwykle zasłonięte obrazy niedoli biednych lub nieprawych dzieci na tle straszliwego upodlenia jej sprawców. Czy najzuchwalsza imaginacya śmiałaby ułożyć w kołysce pięcioro niemowląt i podesłać pod nie trupy innych? Czy przedstawiłaby nam izdebkę, w której żyje trzynaście osób śród gnijących ciał dzieci, leżących pod stołem w kątach, w zawiniątkach i koszykach? Czy ona poważyłaby się urządzić legowisko nocne dla 18 letniego chłopca pod łóżkiem zbrodniarki i dać mu pod głowę trupy niemowląt? Zdaje się, że to wszystko nie mieści się w granicach natury ludzkiej, a jednakże życie świadczy inaczej i aż do tej wstrętnej prawdy posuwa możliwość zwyrodnienia ludzkiego. Skublińska i jej wspólnicy są stanowczo osobnikami chorobliwymi, które należą do szpitala i kryminału, którym przeto żadne prawo innej natury nie da. Ale co — przynajmniej do pewnego stopnia — zmienić możemy, to los dzieci, oddawanych na pastwę takich wyrodków. Działalność Skublińskich opiera się na dwu podstawach: na wstydzie i nędzy matek. Pierwszy trwać będzie dopóty, dopóki śród skamieniałości obyczajowych nie przestaną istnieć t. zw. dzieci nieprawe, druga może znaleźć ulgę w lepszych urządzeniach społecznych. Podczas gdy sąd zajmował się rozpoznawaniem winy tępicielek niemowląt, w innem miejscu grono lekarzy obradowało nad zburzeniem jaskiń, w których one giną i w których dokonywa się rozbójniczy wyzysk. Wiemy, co to są stręczycielki mamek. Biedna kobieta dla ukrycia swej hańby albo dla zarobku oddaje dziecko akuszerce lub rajfurce, która je podrzuca, umieszcza w przytułku, powierza najętej karmicielce, zagładza, słowem uprząta. Za tę usługę oraz za utrzymywanie mamki do czasu znalezienia służby opłaca ją szachrajsko wyliczonym „długiem,“ który przy najmniej ściąga. Może być wątpliwym weksel, może być niepewną hipoteka, ale ubezpieczonym od wszelkiego ryzyka jest ten „dług.“ Stręczycielka bowiem nie puści swej zakładniczy dopóty, dopóki go nie odbierze. Jest to niewola z żelaznymi więzami. Właśnie nad skruszeniem tych kajdan obradowali lekarze i przyjęli projekt otworzenia przy przytułkach położniczych kantorów mamek z prawem pobierania 5 rs. opłaty za pośrednictwo. Nie potrzebuję zapewniać, jak wielkie byłoby to dobrodziejstwo zarówno dla biednych kobiet, wyzyskiwanych przez stręczycielki, jak i dla publiczności oszukiwanej, narażanej na straty i zawody. Jeżeli taki będzie rezultat odkrycia robót Skublińskiej, to przynajmniej ze szkody wyciągniemy korzyść.

Chemicy warszawscy powinniby również zebrać się na naradę i obmyśleć sposób zapobieżenia walce ich analiz. Jest to bowiem — delikatnie mówiąc — widowisko nieładne i nastręczające powód do niepożądanych wniosków. Bo co może sądzić publiczność, gdy usłyszawszy od jednego chemika potępienie jakiegoś produktu, od drugiego słyszy pochwałę? Albo tę sprzeczność wytwarza nieuctwo, albo inne gorsze jeszcze względy. Z przyjemnością też zaznaczyć wypada przebieg sprawy wód gazowych w Towarzystwie przemysłu i handlu. Jak wiadomo, miejska stacya hygieniczna wykazała w nich znaczne domieszki zanieczyszczeń trujących, a zwłaszcza ołowiu. Ponieważ wyłączono z zarzutu fałszerstwa tylko cztery fabryki, więc cała reszta podniosła krzyk, a pp. Milicer i Praus, nie ufając rozbiorowi stacyi miejskiej, postanowili samodzielnie dokonać analizy. I znaleźli ołów. Wprawdzie utrzymują oni, że nawet w najlepszych naszych wodach gazowych wykryć go można, że wina spoczywa głównie na fabrykantach naczyń, ale nie zaprzeczyli faktu powolnego zatruwania spożywców. Nie mamy więc w tej sprawie na jedno pytanie dwu całkiem sprzecznych z sobą odpowiedzi, ale dwie zasadniczo zgodne. Drobne różnice mogą wynikać z odmiennych metod badania — i one zbyt nie ważą. Ponieważ zaś pracownia miejska — co jej poczytujemy wraz z p. Leppertem za wielką zasługę — pójdzie dalej w swem sprawdzaniu artykułów spożywczych i nieraz jeszcze wywoła wrzawę śród zainteresowanych fabrykantów lichego towaru, byłoby więc bardzo pożądanem, ażeby każda walka na tem polu ze strony chemików kończyła się tak, jak rewizya wód gazowych. Wtedy analizy mogą istotnie wywrzeć wpływ na naszą produkcyę, a w publiczności obudzić wiarę do ludzi nauki.

Tymczasem podzielam jeszcze niewiarę Stowarzyszonego, który w *Kuryerze warsz.* zaprzecza pogłosce, jakoby jeden z radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego chciał zamienić ową godność pół-honorową na lepiej płatną posadę urzędnika w tej instytucyi. Być może, iż taka zamiana, przynosząca o 2,000 rs. więcej, uśmiecha się zakłopotanej kieszeni; ale tam chyba oprócz kieszeni ma głos i honor. W Towarzystwie pracują urzędnicy, którym przyświeca nadzieja awansu; gdyby więc radcowie zaczęli szczeble tej drabiny urzędniczej zajmować od góry, powstrzymaliby i skrzywdzili tych, co stoją na dole, dając przykład bardzo niemoralnych skoków w karyerze. Powtarzam tedy, że nie wydaje mi się dotąd prawdopodobnem, ażeby Towarzystwo urządziło u siebie słup namydlony, na który jedni włażą od spodu, a drudy podsadzani są odrazu do wierzchu.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Ulgi podatkowe dla włościan. — Zarys reformy zarządów gminnych. — Ochronka dla drobnej własności. — Organizacya moralnego oddziaływania duchowieństwa na lud.

Prawdopodobnie wkrótce włościanie ruscy doczekają się, że część brzemienia podatkowego, tłoczącego ich od lat wielu, z ich „dusz,“ a co ważniejsza jeszcze — z ich gruntów będzie zdjętą. Mówię „prawdopodobnie,“ bo dotychczas za tak doniosłą dla „klasy podatkowej“ sprawą najwyraźniej oświadcza się tylko prasa ruska, która jest tłomaczką dojrzałej potrzeby społecznej, oddawna wołającej o interwencyę państwową. Idzie tu o zmniejszenie ciężarów gminnych (tak zw. *mirskije sbory*), ustawicznie wzrastających ponad niezbędność przez to niepomiernie a uciskających mienie ludu wiejskiego. *Ruskija Wiedomosti*, korzystając z pogłoski, że ministeryum spraw wewnętrznych ta kwestya oddawna zaprząta, a nawet podobno skłoniła je do zacięgnięcia w tej mierze zdania u gubernatorów, pośpiesza z cyframi statystycznemi, które są bardzo wymowne. Z danych centralnego komitetu statystycznego (*Mirskije raschody krestjan*, 1881 r.) okazuje się, że rozchody gmin i gromad wiejskich ogółem prawie równają się rozchodom wszystkich osad miejskich i mało co mniejsze są od wydatków ziemstw. W r. 1881 w 46 guberniach pierwsze z nich wynosiły 32,478,000 rs., drugie (łącznie z rozchodami Petersburga i Moskwy) 35,411,000, trzecie — 42,562,000. A zatem rozchody gminne stanowią prawie 30% ogólnej sumy miejscowych budżetów i miast, są ściślej obliczone, niżeli gminne, raczej za nisko niż za wysoko podane. Najlepszą daje miarę ich uciążliwości dla włościan ta okoliczność, iż podały one na dziesiątynę gruntu włościańskiego w wysokości 28 kop. (w gub. petersburskiej 81), podczas gdy podatek ziemstw w 34 guberniach, gdzie te instytucye działają, stanowił zaledwie 15 kop. od dziesiątyny, tylko w jednej gubernii dochodząc do 25. Tak było przed dziesięciu laty, od tego zaś czasu te ciężary raczej wzrosły, niżeli zmalały. Godne uwagi, że one w jednej trzeciej w r. 1881 były obracane na takie cele gospodarcze gmin, jak np. najem pastu-

chów, drenowanie pól itd., wzrost ich zatem w tym kierunku ma znaczenie produkcyjne i interwencya państwa tutaj byłaby zbyteczną. Ale jest inna kategorya wydatków gminnych t. zw. „administracyjnych,“ których znaczna część idzie nie na klasowe potrzeby włościan, lecz głównie zaspakaja wymagania ogólnego zarządu, użytecznego dla całej ludności gminy, a w rzeczywistości spada niepodzielnie i całym ciężarem tylko na włościan. Charakterystyka wydatków „administracyjnych“ na tem zyska, jeśli przytoczę kilka cyfr, określających składowe części tych wydatków. Według danych z r. 1881 więcej niż połowę ich pochłaniało utrzymanie administracyi gminnej, np. pensye wójtów (starszyn) i pisarzów wynosiły 45,3%, budynki gminne — 10,3% i 1,6% wydatki kancelaryjne. Następnie idą rozchody: utrzymanie koni rozjazdowych — 26,%, najem mieszkań dla urzędników 1,3%, utrzymanie posłańców przy mieszkaniach rewirowych („stanowych“) — 0,4%, etapowa powinność — 0,5% i 0,2% — aresztancka. Z tego widać, że 85,6% wydatków gminnych czyli niebłaha suma 12,66 miliony pochłaniają takie sprawy w których przeważnie jest zainteresowana administracya: państwowa i ziemska. To samo się stosuje i do kosztów utrzymania koni rozjazdowych dla urzędowych osób: potrzeba ta mało jest włościańską. Końmi tymi posługują się nietylko urzędnicy gminni, lecz także policya, sędziowie śledczy oraz inni agenci rządowi, którzy, często jeżdżąc, powodują również częste wydatki (obroczne). Tak samo utrzymanie posłańców i dziesiętników po rewirach, najem mieszkań dla „uriadników“ i żandarmów, etapy, lokale aresztanckie — są właściwie wydatkami ogólnymi (ziemstw), wcale zaś nie włościańskimi. W tym to właśnie kierunku powinna pójść regulatorska interwencya państwa, które już zaniechało roli wyczekującej wobec nieustannego narastania kosztów gminnych i, zatypiwszy w zasadność samorządu włościańskiego pod tym względem, zamierza samo przeprowadzić ulgi podatkowe. „Te powinności — poddają myśl *Rus. Wiedomosti* — winny być uznane za ogólne i do ich przekonania należy pociągnąć wszystkich obywateli wiejskich bez różnicy klas. W przewidywaniu, że to nastąpi, już zawczasu pospiesza ten organ ze wskazówkami, jak ma być dokonywany ten rozpodział ciężarów pomiędzy różnoklasowe żywioły gmin. Za podstawę rozpodziału przyjmowano dotychczas nie jednostkę własności ziemskiej, (desiatynę) względem włościan, lecz osobę podatnika (*rewizskija duszy*). Ponieważ źródłem dochodu włościan jest rola, która znów przypada w udziale każdemu z nich nie w jednakowej mierze i wydajności, zasada więc ta w istocie rzeczy grzeszy niesprawiedliwością i jako taka dawno już przestarzała. Najlepszym przykładem pod tym względem jest gub. kazańska. Tam własność ziemska włościan chwieje się między 0,54 desiatyny, a 8,26. Otóż przy pogłównym rozpodziale ciężarów gminnych 57 kop. u małorolnych spada prawie na połowę desiatyny, gdy tymczasem u wielorolnych, rozmieszczając się na 8 desiatynach, obarcza każdą z nich tylko 7 kopiejkami.

Postanowiłem aż do końca osią obecnej kroniki uczynić — chłopa. Skłania mię przeważnie do tego ta mianowicie okoliczność, iż tak u nas, jak w Rosyi i gdzieindziej — stał się on owem ogniskiem, około którego skupiają się tu zabiegi pewnych klas, ówdzie zabiegi i pewnych klas i władzy — tu jest on podstawą programów społecznych, tam — podwaliną państwa, cenną podatkującą krynicą, pierwszorzędnem źródłem rekrutodajnem. Dla tego też zamierzona reforma samorządu włościańskiego (gminnego), będąc dalszem uzupełnieniem dokonanych już przeobrażeń (reorganizacya ziemstw, sądownictwa i powołanie do życia urzędu naczelników ziemskich), stanowiąc ostatnie ogniwo reform społecznych, będzie jednocześnie nie tylko ostatecznem wzmocnieniem zbyt rozluźnionej uprzednio władzy państwowej, lecz także wyrazem przezornej opieki tam, gdzie okazała się niedojrzałość, niezaradność, demoralizacya. Na czem polegać ma ta reforma? *Ruskija Wiedomosti* twierdzą, że przedewszystkiem na ulepszeniu składu urzędników gminnych oraz na uprawidłowieniu zebrań gminnych. Pierwszy cel ma być osiągnięty podniesieniem gaży wójtów, w tej myśli, że tym sposobem ten urząd stanie się ponętnym dla osób uczciwych i budzących ufność (*błagonadieżnych*). W związku z tem, tj. w widokach zwiększenia dochodów zamierzono zmniejszyć liczbę gmin. Wójtowie obowiązani będą w ciągu swego urzędowania obierać na miejsce stałego pobytu zarząd gminy i zawsze asystować przy załatwieniu wszystkich spraw. Ład w zebraniach gminnych pozyskany będzie kosztem ograniczenia praw uczestniczących w nich. Wyłączenie ze stada dobrego dotknie tylko parszywe owieczki, tj., te jednostki, które obarczyły się występkiem przeciw prawu własności, winą wielokrotnego zawadyactwa, pijaństwa i *nieposłuszeństwa* naczelnikom ziemskim oraz organom władzy gminnej. Tak wyróżniona grupa poddawaną będzie — karze cielesnej. Zbyteczna dodawać, iż wielkiej nabierze doniosłości ta reforma dla ludu wiejskiego pod względem moralnym, społecznym i ekonomicznym.

Pod względem ekonomicznym są nowe środki zaradcze. Spostrzeżono, że chłop jest nietylko słaby i nieudolny w zakresie życia społecznego, lecz chwieje się na swojej podstawie (gruncie), a nawet zbyt często zupełnie rówoowagę traci. Ażeby temu zapobiedz, podniesiono sprawę niezbywalności roli włościańskiej i rozwiązano ją w sensie twierdzącym. Na mocy nowego prawa zastaw lub sprzedaż ziemi nadawczej — jest bezwarunkowo wzbroniony. Działy wykupione zwolnione są od sprzedaży za długi hypoteczne, zaciągnięte po wydaniu obecnego prawa. Nadto, wszystkie akty zawarte po za obrębem tych nowych przepisów tracą swoją prawomocność. Żeby uruchomieniu ziemi włościańskiej stanowczy położyć kres, *Ruskija Wiedomosti* zalecają wydanie innego prawa dopełniającego, któreby stanowiło warownię głównej podstawy dobrobytu włościańskiego—*gminnego władania*.

W parze z prawodaczymi środkami na niedomagania drobnej własności gdzieindziej (np. w Niemczech i Francyi) idzie zorganizowane oddziaływanie żywiołów kościelnych na umysłową i moralną stronę ludu. To samo daje się spostrzegać i w Rosyi od pewnego czasu. Oddziaływanie duchowieństwa na lud już się organizuje w postaci—bractw eparchialnych. Korzystając z artykułu p. Szemiakina w *Cerkownych Wied.*, rozwiodę się nieco nad tem ciekawem i znamiennem zjawiskiem. Idea bractw nie jest nowa, działają już one oddawna w guberniach zachodnich, lecz zakres ich działania tam ogranicza się do obrębu parafii, najwyżej — miasta. Powstające zaś w guberniach środkowych inaczej są powołyane do życia: przychodzą z góry, tj., z ośrodka eparchialnego, skąd rozpościerają działalność na całą eparchię. Zstępują na dół stopniowo, pośrednim ich szczeblem jest powiat, a ostatnim—parafia. Przez to oddziaływanie moralne zyskuje na spójności i, jako ześrodkowane w rękach wyższego duchowieństwa — będzie jednolitem i bardziej celowem. Najwięcej jednak znaczenie praktyczne będą miały bractwa parafialne, jako najbliżej stykające się z ludem i przez to mające nań bezpośrednio oddziaływać. Pierwszą stacyą doświadczalną tej nowej instytucyi jest gub. połtawska, gdzie są zakładane obecnie takie bractwa przy cerkwiach całego powiatu. Według zatwierdzonego przez zwierzchnika eparchii (archiereja) ustawy bractwa w Łubnach, zadaniem jego ma być troska o postępy szkół parafialno-cerkiewnych w mieście Łubnach, jak również w całym powiecie. Zadaniem jego będzie: zakładanie w mieście i powiecie księgarni dla rozsprzedaży podręczników szkołom parafialnym oraz książek treści nabożnej, urządzanie odczytów i dyskusyj w religijno-moralnym kierunku, niesienie materyalnej pomocy szkołom parafialnym itd. Z pedagogiczną działalnością bractwa mają łączyć i filantropijną (np. ułatwienie sierotom i dzieciom niezamożnych rodziców dostępu do szkół). Żeby pozyskać jaknajwięcej członków, ustawa nie wymaga żadnych określonych opłat: każdy wnosi, co może — pracę osobistą, wpływ, nadmiar środków materyalnych. Tak więc obok ochronek dla drobnej własności stają do pary — ochronki moralne.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Niespodzianka.

Kasa zjednoczenia urzędników kolei Terespolskiej zapowiedziała emerytom, że od 1 stycznia 1881 r. będzie musiała zmniejszyć im wypłatę należności o 25%, na pokrycie bowiem całej nie wystarczają jej fundusze. *Gazeta polska*, której redaktor jest radcą prawnym kolei, w obszernem wyjaśnieniu tłomaczy tę przykrą niespodziankę tłumnem podaniem się urzędników do emerytury, wywołanem pogłoską o skupie kolei, oraz ich oporem w przyjęciu projektu zarządu. Bądź co bądź, jest to objaw niechlubnie świadczący o składzie instytucyi, która nie umie swej kasy emerytalnej oprzeć na trwałych podstawach i odsyła jej członków po ratunek i wskazówki do sądu.

Pożar kopalni.

Kopalnia „Ignacy Mortimer,“ będąca własnością Towarzystwa Kramsty, od tygodnia się pali. Wszelkie środki stłumienia tego pożaru, wydobywającego ogień kraterami, okazały się bezskuteczne. Dwu ludzi przy ratunku postradało życie, trzech dogorywa w szpitalu. Sprawcami katastrofy są podobno dwaj poddani pruscy: Bongardt, inżenier i Jekel, nadsztygar, którzy niedbalstwem w systemie prowadzenia robót spowodowali zapalenie się kopalni. Pierwszy z nich uciekł za granicę. Dotychczasowa strata wynosi około 200,000 rs., 600 robotników pozostało bez zajęcia.

Sprawy społeczne. Dla ochrony włościan przed wyzyskiem pokątnych doradców postanowiono utworzyć specyalny instytut adwokatów do spraw włościańskich. Będą oni urzędnikami koronnymi, na wzór jurískonsultów w różnych instytucyach rządowych. Instytucye te będą miały za obowiązek szerzyć pośród włościan wiadomości o istnieniu specyalnych adwokatów; jednocześnie z zatwierdzeniem tych posad adwokatura pokątna będzie całkowicie wzbroniona. Sprawy, w których chodzi o sumy mniejsze niż od 500 rs., mają być prowadzone bezpłatnie.

— *St. Pet. Wied.* donoszą o postanowieniu bezwłocznego załatwienia sprawy służebności w kraju południowo-zachodnim. Pieniężne wynagrodzenie włościan ma być wykluczone. Przy zamianie służebności na grunt otrzymywane przez włościan działki będą przylegać do ich osad. Przy określeniu wielkości działek postanowiono zwrócić uwagę: na rozmiary serwitutu, liczbę osadników posiadających służebności, zdolność do pracy osadnika itd.

— W Moskwie za staraniem czecha Jeżyczka powstaje Towarzystwo słowiańskie, którego celem jest pomoc młodym czechom, czarnogórcom, bułgarom, serbom i innym, przybywającym do Rosyi dla kształcenia się.

— W Pelplinie (Prusy zachodnie) założono stowarzyszenie przeciwko socyalizmowi. Zapisało się na razie 150 członków. Zarząd stanowią: ksiądz Polachowski, ks. dr. Ruchniewicz, dr. Paczkowski, dr. Mizerski

Szkoły. Petersburskie Tow. techniczne zakłada specyalne szkoły: elektrotechniczną, chemiczną i fotograficzną.

— Istniejące obecnie czasowe kursy gimnastyki dla nauczycieli tego przedmiotu w średnich i niższych zakładach naukowych od przyszłego roku szkolnego będą przekształcone na instytut gimnastyki. Od tegoż terminu będzie ustanowiony etat nauczycieli gimnastyki z pensyą 600 rs. rocznie.

— Towarzystwo techniczne postanowiło otworzyć szkołę piwowarstwa. Powodem jest szybki rozwój tej gałęzi produkcyi, taniość materyałów niezbędnych do fabrykacyi, tudzież chęć wywozu piwa za granicę.

— W niektórych punktach gub.: połtawskiej, charkowskiej, chersońskiej, nowogrodzkiej, wołogodzkiej i ufimskiej postanowiono otwierać szkoły gospodarstwa wiejskiego, hodowli owiec i gospodarstwa nabiałowego.

— Wykłady kolejnictwa na politechnice lwowskiej (jedyna katedra w Austryi) przyciągają licznych słuchaczów z szerszego koła publiczności.

— W Galicyi szkół ludowych w r. b. było 3.692, tj. więcej o 106 niż w r. 1889. W 1,536 szkołach językiem wykładowym był polski w 1802 ruski w 35 niemiecki.

— Kurs wyższy stenografii polskiej rozpoczął się na wszechnicy lwowskiej.

— Podczas aktu otwarcia studenci wszechnicy bruksselskiej urządzili gwałtowną manifestacyę, której powodem był rektor, niemiec, Philippson.

Sprawy kolejowe. Z inicyatywy głównego zarządu poczt i telegrafów, wkrótce na kolejach tutejszych wagony pocztowe kursować będą przy wszystkich pociągach pośpiesznych.

— Z polecenia inspekcyi kolejowej zarządzono na wszystkich tutejszych kolejach rewizyę wagonów osobowych, celem sprawdzenia systemu ogrzewania.

— Dyrekcya kolei Karola Ludwika z dn. 1 Listopada r. b. zniżyła ceny przyjazdu ze Lwowa do Krakowa, a kolej północna z Krakowa do Wiednia.

— Na kolei Wiedeńskiej oddział warsztatów mechanicznych dla głównej reparacyi wagonów otrzymał na swe powiększenie od zarządu 10,500 rs.

— Odbywa się przebudowa dworca kolei Terespolskiej na Pradze.

Przemysł i handel. Towarzystwo jedwabnicze zorganizowało już swój zarząd: p. Emilian Broniewski — prezes, p. Adolf Bogucki — wiceprezes, p. Malinowski — sekretarz, p. W. Magnus — kasyer, p. Z. John — buchhalter, p. Jan Banzemer wziął na siebie obowiązek zbierania statystyki morw i jedwabnictwa krajowego, tudzież korespondencye z towarzystwami zagranicznemi.

— Oprócz Rokitna ministeryum wojny nabyło niedawno jeszcze kilka wielkich dóbr w kraju Południowo-Zachodnim. W jednem z nich zamierza urządzić wielką fabrykę konserw, przygotowywanych według przepisów lekarzy Poddubnego i Małachowa.

— Ministeryum skarbu i spraw zagranicznych opracowały projekt zawiązania bezpośrednich stosunków handlowych z wyspą Ceylon, w celu sprowadzenia do Rosyi herbaty tamtejszej, aby tym sposobem uniknąć zależności od angielskich rynków herbacianych i przeciwdziałać fałszowaniu tego produktu, prowadzonemu na wielką skalę w Chinach i Londynie.

— Z Krakowa donoszą, iż kopalnie nafty br. Graeve'go pod Krosnem nabyła spółka, złożona z dwóch grup: hr. Ludwika Platera i sp. i bar. Hadenberga z Hanoweru. Odkryto tam nowe obfite źródła nafty i pokłady wosku.

— Wielki młyn parowy budowany jest obecnie w Królewcu w takich rozmiarach, aby mógł przemlewać rocznie 5,000 wagonów żyta. Przedsiębiorcy pragną wejść w bezpośrednie stosunki z rolnikami i w tym celu wzywają ziemian z prowincyj Południowo-Zachodnich o nadsyłanie 1 funtowych próbek żyta i ofert.

— Komisya Rolnicza przy ministeryum spraw wewnętrznych stara się o podwyższenie cła od wyrobów zagranicznego przemysłu wiejskiego, tudzież prosi o zniżenie lub pozostawienie w dawnych rozmiarach ceł od maszyn i narzędzi rolniczych.

— Towarzystwo jedwabnicze rozesłało listy do mniejszych i większych rolników, zachęcając ich do hodowli morw i zbierania kokonów, których odbyt zapewnia. Z otrzymanych już na większość listów odpowiedzi Towarzystwo przekonało się, że hodowla morw w kraju dość jest rozwiniętą, zaniedbanem zaś tylko zbieranie kokonów, z powodu iż nie miały prawie żadnego zbytu.

— W majątku Przystań (pow. częstohowski) odkryto pokłady rudy żelaznej.

— W Berlinie zawiązano Towarzystwo popierania przemysłu niemieckiego w Afryce południowej.

Wystawy. Wystawę okazów afrykańskich (p. Janikowskiego) otwarto w Warszawie.

— Charkowskie Towarzystwo rolnicze zaproponowało innym udział w wystawie rolniczej, zapowiedzianej na maj r. p. w Zagrzebiu.

— W Odesie na uroczystość jubileuszową stoletniego istnienia miasta zapowiedziano wystawę przemysłowo-artystyczną.

— W Petersburgu otwartą będzie wystawa drukarska w grudniu r. b.

— W Petersburgu odbywają się przygotowania do wystawy tkackiej, zapowiedzianej na zimę. Główne miejsce zajmą tam fabrykanci moskiewscy i łódzcy.

Zjazdy. W Moskwie zapowiedziano międzynarodowy zjazd przyrodników.

— W Rydze odbędzie się zjazd rolników z całego kraju w celu wynalezienia środków dla podniesienia rolnictwa i przemysłu wiejskiego.

Wiadomości literackie. Niedawno wyszedł z pod prasy 59-ty (przedostatni) tom dzieła Wurzbaela p. t.: *Biographisches Lexikon des Kaiserthums Oesterreich.* Z początkiem roku przyszłego ukaże się tom ostatni tego wydawnictwa, które się ciągnęło 45 lat.

— P. minister spraw wewnętrznych rozkazał wstrzymać na cztery miesiące wydawnictwo gazety *Wostocznoje obozrenie.*

— P. Wiktor Baworowski (tłómacz Byrona i W. Hugo), znalazł dalszy ciąg balady Mickiewicza „Renegat." Podobno improwizacyi tej poeta nie uznał za godną druku.

— W ciągu r. 1887 pojawiło się w Rosyi 8,699 dzieł w 24,780,423 egzemplarzach. Pierwsze miejsce pomiędzy działami w językach obcych jak mówi *Istoriczeskij Wiestnik* — zajmują polskie: 723 dzieł w 1,836,088 egzemplarzach.

Zmarli. John Hancock w Newcastle; ornitolog angielski.

— John Drew Gay, dziennikarz angielski; w Londynie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu I. P. Komitet wydawnictwa dzieł Kochanowskiego tłomaczy zwłokę trudnościami przygotowania tomu ostatniego. Zapewne że to wydanie mogłoby już być ukończonem, upewniamy Pana jednak, że ani złej woli, ani niedbalstwa tu niema.

Panu W. Kr. Do winnych odnosi się § 328 k. k., który brzmi: „Kto namawiać będzie jakichkolwiek poddanych do wysiedlenia się za granicę, ten podlega pozbawieniu wszystkich osobistych praw szczególnych i przez stan swój nabytych oraz przywilejów lub też oddaniu do rot arestanckich."

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 26 Октября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.